DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (6)

Do czego tu wracać?

To nie jest fala, zaledwie strumyk, ale Polacy faktycznie zaczęli wracać z emigracji

M3

Bezpieczeństwo / M14

Sieć nastoletnich killerów

Nastolatków kaptuje się dzisiaj do wykonywania misji na rzecz przestępców lub do prowadzenia asymetrycznych wojen. Za kilkaset dolarów od zlecenia

pisze Mariusz Janik

Rosja / M16

Zawsze dmuchać na zimne

Skoro taka machina, jaką był ZSRR, potrafiła runąć bez zapowiedzi, to może się tak stać i teraz. Zwłaszcza jeżeli poluzować system. Dlatego luzować nie wolno

zauważa Piotr Skwieciński

Wywiad / M18

Rosja poczeka na odpowiedni moment

Ukraińcy otrzymają reparacje z rosyjskich źródeł, choć nie tyle, ile by chcieli. Jeśli nie wystarczy pieniędzy na pokrycie wszystkich strat, jak je rozdzielić?

mówi Norbert Wühler

9 772080 674051 39

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 187 (6856), 25–27 WRZEŚNIA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 25c31a5032

Wywiad / M6

PiS nie będzie rządzić samodzielnie

Startujemy do Sejmu samodzielnie, jesteśmy gotowi do rozmów w sprawie Senatu. Jedno jest pewne: PiS musi się ćwiczyć w tworzeniu koalicji
mówi Piotr Müller

USA / M12

Przydziały na wodę

Jezioro Mead zaopatruje w wodę ok. 23 mln mieszkańców siedmiu stanów i nawadnia uprawy o powierzchni ponad 1 mln ha. A teraz wysycha
relacjonuje Emilia Świętochowska



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Hajda na rzecznika praw dziecka? Dwie wątpliwości

Jan Wróbel

Pierwsza: publicystyczny zapał sądu rodzinnego. Przepraszam, lecz nie poważam aktów strzelistych w orzeczeniach sądowych. Cytuję: „Wielką prośbą, a wręcz gorącym błaganiem sądu jest, aby rzecznik praw dziecka z taką samą żarliwością, determinacją i skutecznością zaangażowała się w realne działania na rzecz systemowej poprawy dramatycznego funkcjonowania pieczy zastępczej w Warszawie, z jaką to żarliwością zaangażowała się w podejmowanie nieformalnych, pozaprocesowych i pospiesznych czynności, które w konsekwencji doprowadziły do niepotrzebnego umieszczenia tych maleńkich dzieci na ten czas w placówce opiekuńczo-wychowawczej". Sąd w orzeczeniu dotyczącym bardzo konkretnej sprawy podejmuje się oceny pracy RPD? Bo...?

Tak sąd oceniał składającą wyjaśnienia policjantkę: „Z jej szczerych zeznań jasno i wprost wynika...", „Świadek ta z pełną otwartością...". Jak dobrze sędzia zna policjantkę, by określić jej pełnię szczerości? Wreszcie cokolwiek dziwne jest rozległe objaśnienie, że przechowywany w domu alkohol legalnego pochodzenia to nie objaw patologii. I wystarczy tak to napisać. Sąd, wpadając w gadulstwo w tej sprawie, nie pragnie aby obudzenia w nas niechęci do Takich Ludzi jak rzeczniczka, chcąca zapewne, aby w domach... Uwaga, dziś Horna-Cieślak, jutro prohibicja!

Drugi czynnik to polityczna gorliwość. Jeszcze farba drukarska nie obeschła na artykule w Zero.pl, a już popędzili do internetu niektórzy politycy, aby obwieścić konieczność odwołania rzecznika, a może i całego rządu, którego premierem jest człowiek, którego minister... Zaraz, panowie (panie polityczki dały się jakoś prześcignąć). Nie zbadamy najpierw, co się stało? To znaczy, nie zbadamy innymi oczami niż dziennikarzy? Oczywiście, dzięki dziennikarzom naprawdę wiele się w Polsce objawiło – ale pośpiech, tak wskazany przy łapaniu pcheł, w decyzjach politycznych i personalnych jest wskazany bardzo rzadko.

Dzieci przed dorosłymi bronić trzeba często. Pani Horna-Cieślak dała przykład zasady „Reaguj!". I jak się może wydawać, poszła w reakcji za daleko i być może również z powodu obrażonej własnej godności. Raczej chcemy żyć w kraju, w którym urzędnicy nie są bezduszni. Ale też chcemy żyć w kraju, w którym politycy nie cisną, ponaglani prywatną urazą. To dotrzyjmy do prawdy, na spokojnie.

Reagujmy jak należy. ©℗



FOT. KYLIE COOPER/REUTERS/FORUM

Grenlandia / M8

Remis ze wskazaniem

Kto wychodzi zwycięsko z wielomiesięcznego kryzysu? NATO i „strategiczny Zachód". Przynajmniej tymczasowo
analizuje Witold Sokała

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń (kierownik), Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PiK), Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler, Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap, Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter, Garmond Press, GLM, AS Press oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
℗ – znak odpłatności;
©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na **DGP.pl**

eprasa.pl 25c31a5032

Do czego tu wracać?



RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (6)

To jeszcze nie jest wielka fala, zaledwie strumyk, lecz Polacy faktycznie zaczęli wracać z emigracji. Czy jednak jest do czego?

Sebastian

Stodolak

Był rok 2006. „The New York Times" ogłosił „największy exodus Polaków od lat 50", „Polityka" napisała o „dziurze po imigrantach", a publicysta Onetu Marek Czarkowski zauważył: „Dziś z Polski się nie wyjeżdża, lecz ucieka! Jak z Iraku, Afganistanu i Somalii. Nie wiemy dokładnie, kto nas napadł i kim są okupanci, ale na wszelki wypadek – trzeba wiać!".

Jak wielu Polaków zwiało? Nie wiadomo. Jedni wyjeżdżali tylko na kilka miesięcy z myślą o pracy sezonowej, inni na kilkuletnie studia, jeszcze inni z zamiarem osiedlenia się za granicą na stałe. Problematyczne było i jest już samo śledzenie wyjeżdżających. W Unii obowiązuje swoboda poruszania się i zwykle nie trzeba tego urzędom raportować. Gdyby przyjąć, że emigrant to ktoś, kto przebywa za granicą co najmniej rok, to liczba takich osób wzrosła z 650 tys. w 2004 r. do 1,69 mln w roku 2017. Potem jednak zaczęła spadać. Dzisiaj wynosi ok. 1,51 mln. Szczupleje polska diaspora w Anglii, Niemczech, Szwecji. Część z tych osób po prostu przeprowadza się do innego kraju europejskiego, wciąż nie do Polski. Część jednak wraca. Kto, dlaczego, a przede wszystkim do czego?

Ucieczka do przyszłości

Fatima Zahra Znioi z Ośrodka Badań nad Migracjami UW w raporcie „Wielki zwrot" zauważa, że czynnikiem ściągającym Polaków do ojczyzny jest konwergencja gospodarcza, ale również, że to tylko część wyjaśnienia. „(...) na decyzje o powrocie częściej wpływają relacje rodzinne, tożsamość, poczucie przynależności oraz zmiany zachodzące w trakcie życia. Motywacje te często stają się bardziej istotne wraz z wiekiem migrantów. Rodzice wielu migrantów, którzy wyjechali po 2004 r., wkraczają w starszy wiek, co zwiększa zapotrzebowanie na opiekę i bliskość. Dla innych powrót wiąże się z wychowywaniem dzieci w środowisku polskojęzycznym, zarządzaniem odziedziczonym majątkiem lub odbudową relacji społecznych, których nie da się łatwo odtworzyć za granicą" – ocenia Znioi.

Do jakiej Polski wracają? Co w niej zmieniło się prócz dróg i PKB, i czy zmieniło się na lepsze?

Cofnijmy się w czasie o 22 lata, gdy granice UE stanęły dla Polaków otworem. Pakowali manatki i wyruszali – głównie jeszcze autobusami, a nie samolotami – na Zachód. Ich autobus – wysłużona 15-letnia Setra z importu – poruszał się raczej drogami krajowymi, bo sieć autostrad była wciąż szczątkowa. Do granicy – dopóki radio łapie krajowe rozgłośnie – mogli jeszcze posłuchać debaty na temat polityki rządu, na którego czele stał Marek Belka, albo afery Orlenu, czyli skandalu wokół niejasnych konszachtów między Janem Kulczykiem, jednym z najbogatszych Polaków, a politykami, m.in. prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Widząc zbliżającą się granicę państwa, kończyli rozmowy telefoniczne z rodzicami, bo przecież połączenia w roamingu wciąż były bardzo drogie – zwłaszcza dla Polaka, który zarabiał wtedy średnio 2,4 tys. zł brutto. Jeśli w ogóle miał jakąś pracę, bo stopa bezrobocia wynosiła wtedy 19–20 proc., a poniżej minimum egzystencji żyło ok. 12 proc. społeczeństwa.

Gdy nowi emigranci wjeżdżają do Niemiec albo dolatują do Norwegii, Szwecji czy na Wyspy Brytyjskie, kraje te jeszcze silniej niż w wyobrażeniach kontrastują z Polską. Zadbane domostwa, eleganckie galerie handlowe, szerokie, wielopasmowe drogi to szok. Przed naszymi rodakami wielka niewiadoma. Jedni mają już załatwioną robotę, inni dopiero będą jej szukać. Większość ma jednak nadzieję na to, że wyjdą na tym lepiej, niż gdyby zostali w kraju, który nie daje im odpowiednich perspektyw i stabilności. Badania pokazują, że choć z początku większość emigrantów myśli o wyjeździe jako o czymś tymczasowym, jednak z czasem rezygnuje z idei powrotu. Poznają zachodni standard życia, wyższe zasiłki socjalne i lepsze warunki do wychowywania dzieci, więc osiedlają się na stałe, często sprowadzając z Polski swoich partnerów i potomstwo.

W tym czasie Polska się oczywiście rozwijała (w 2004 r. PKB wzrósł aż o 5,3 proc.!), ale wielu Polaków nie miało cierpliwości, by czekać na zapowiadany cud. Oni chcieli żyć lepiej i bogacić się teraz, nie za 10 lat. I mieli do tego prawo.

Powszechność cudu

Cud rzeczywiście nadszedł, co jest dobrze udokumentowane choćby przez dr. Marcina Piątkowskiego w jego książce „Europejski lider wzrostu". W ciągu 37 lat wolnej Polski udało nam się podnieść PKB per capita mierzony siłą nabywczą z ok. 40 proc. do ponad 80 proc. średniej unijnej. Zdecydowana większość tego wzrostu odbyła się po przystąpieniu do UE. Postęp widać we wskaźniku AIC, który określa rzeczywistą konsumpcję indywidualną (uważa się go za lepszą miarę realnego dobrobytu mieszkańców niż PKB). Dla Polski wynosi obecnie 88 proc. średniej unijnej. Dwadzieścia dwa lata temu było to tylko 57 proc. Możemy więcej konsumować, bo przeciętne wynagrodzenie wynosi obecnie ok. 9,2 tys. zł brutto, co oznacza – po uwzględnieniu inflacji – niemal dwukrotny wzrost realny. Bezrobocie wynosi 3 proc. albo 5,7 proc. w zależności od tego, czy mówimy o bezrobociu BAEL (Badanie Aktywności Ekonomicznej Ludności) czy rejestrowanym.

Liczba osób skłonnych na stałe wyjechać za granicę zaczęła więc maleć. Ekonomiści powiedzieliby, że osłabły czynniki wypychające na emigrację (push factors), a jednocześnie wzmocniły się czynniki przyciągające (pull factors). Ale podobne cuda miały też miejsce w innych krajach regionu, którym udało się wyjść z komunistycznego dołka. ▷

eprasa.pl 25c31a5032

Rumunia przesunęła się z 35 do 78 proc. unijnej średniej PKB per capita, Bułgaria z 34 do 68 proc., Litwa z 53 do 87 proc., a Czechy z 76 do 92 proc.

Znioi w swoim raporcie wskazuje na drugą stronę wzrostowego medalu, pisząc, że „tradycyjne kraje docelowe stały się mniej dynamiczne niż w szczytowych latach migracji po przystąpieniu do UE". To bardzo dyplomatyczne sformułowanie. Gospodarki krajów zachodniej Europy właściwie przestały rosnąć, a niektóre państwa wręcz zaliczały spadki realnego PKB. W rezultacie UE rosła jako całość w ostatnich 20 latach w tempie zaledwie 1,2 proc. rocznie. To oznacza, że unijna średnia, do której równamy, rosła równie wolno, a nam łatwiej było ją gonić. Słowem, wzmocnienie czynników przyciągających Polski wynika po części z ich osłabienia w najbogatszych krajach UE. Polacy zaczynają wracać z miejsc, w których nie jest już aż tak dobrze, do kraju, w którym nie jest już aż tak źle, ale wciąż nie tak, jak mogłoby być.

Bo przecież od akcesji nie wszystko w Polsce się poprawiało. Weźmy np. ochronę zdrowia. Osoba, która z Polski wyjechała w 2004 r., wraca dzisiaj do tego samego niedofinansowanego i nieefektywnego systemu, za to jeszcze mniej przejrzystego. Jak pokazuje afera Kacprzyka, realni beneficjenci umieją go lepiej wykorzystywać. Jednocześnie beneficjenci nominalni, czyli pacjenci, mają do niego coraz bardziej utrudniony dostęp. Według pomiarów Fundacji Watch Health Care średni czas oczekiwania na pojedyncze gwarantowane świadczenie zdrowotne wzrósł z 2,4 miesiąca na przełomie lat 2011 i 2012 do 4,2 miesiąca w październiku 2025 r. Czy można się dziwić, że różnica w oczekiwanej długości życia pomiędzy Polską a krajami starej Unii jest niemal identyczna jak 20 lat temu i wynosi ok. 5 lat na naszą niekorzyść? W dodatku nie mamy pomysłu, jak ten problem rozwiązać poza jednym – zasypywaniem problemów zwiększaniem wydatków budżetowych. Pomysł ten jednak ma konsekwencje: rosnący dług publiczny, który oznacza po prostu nowe podatki. Dla reemigranta, który chciałby np. otworzyć w Polsce biznes, to sprawa niepokojąca.

Po 2004 r. nie przeprowadzono też reformy systemu emerytalnego, która odpowiadałaby na wyzwania demograficzne. Pół biedy, jeśli Polak wracający z emigracji ma nabyte za granicą świadczenia emerytalne. Jeśli nie, ma już tylko problem, bo stopa zastąpienia – tj. wysokość emerytury względem ostatniego wynagrodzenia – regularnie w Polsce spada. Obecnie oscyluje w granicach 52–54 proc., ale w 2040 r. ma wynosić już tylko niewiele ponad 40 proc.

Pozytywnie nie zaskoczą go także inne elementy systemu, które nie działały, gdy wyjeżdżał – oświata czy sądy. Te ostatnie procedują sprawy coraz wolniej. Według danych Ministerstwa Sprawiedliwości w ciągu ostatnich 15 lat czas rozstrzygania sporów na polskiej wokandzie wydłużył się o kilkadziesiąt procent. W sądach okręgowych aż o ponad 70 proc. – z 7 do 12 miesięcy. Taki regres osoby powracające z emigracji może zaskoczyć: przecież w sądach mają już komputery i szybki internet, prawda?

Piękna fasada

A zatem do jakiej właściwie Polski wracają dzisiaj nasi rodacy? Odpowiedź należy rozdzielić na dwie warstwy: to, jak modernizowała się gospodarka i jak modernizowało się państwo. Granice między jednym a drugim często są zatarte.

Polak wracający do kraju czuje się w nim bezpieczniej niż na Zachodzie. Pamięta też, że w 2004 r. w niektórych dzielnicach polskich miast można było dostać manto „za żywota" i widzi, że to już dawno nieaktualne. Nie boi się rabunku i napaści na ulicy. W 2004 r. stwierdzono w Polsce 1,46 mln przestępstw, w 2025 r. było ich już tylko niecałe 800 tys. Imponujące. Państwo zdało egzamin? Częściowo tak, skutecznie rozbiło np. przestępczość zorganizowaną, ale w istocie spadku przestępczości można oczekiwać po każdym szybko bogacącym się społeczeństwie. Skoro można zarobić legalnie, nie ma sensu wchodzić w konflikt z prawem. To gospodarka, czyli zwykli, ciężko pracujący ludzie, ma większą zasługę niż państwo w zwiększaniu bezpieczeństwa publicznego.

Nasz powracający do kraju Polak widzi także wspaniałe drogi szybkiego ruchu i autostrady. Ich długość wzrosła z 720 km w maju 2004 r. do 5,6 tys. km obecnie. Mogłoby się wydawać, że to już na pewno rola państwa, ale przecież drogi budowane były głównie przez firmy prywatne za środki pochodzące z kieszeni europejskich i polskich podatników (mniej więcej po połowie). Państwo miało tu rolę pośrednika-facylitatora i w tym zakresie zdało egzamin, jednak bez prężnej gospodarki prywatnej byłoby bezsilne.

Powracający widzi też inne wyraźne oznaki poprawy: zadbane parki, czyste chodniki, wyremontowane dworce. Dowiaduje się, że wiele spraw urzędowych może załatwić zdalnie, używając aplikacji mObywatel, a gdy musi odwiedzić urząd osobiście, po dowód osobisty czy odpis aktu urodzenia, jest obsługiwany o wiele sprawniej, niż zapamiętał. Do tego urzędnik już na niego nie fuka znad kawki, a jest uprzejmy i nawet przejęty swoją rolą.

Problem w tym, że gdy sprawa jest poważna, uśmiech państwowego funkcjonariusza nagle znika. Zimno informuje on petenta o procedurze odwoławczej od decyzji urzędu i ustawowym czasie na jej rozpatrzenie, skrupulatnie wychwytuje wszystkie uchybienia formalne w sądowym wniosku i zwraca do uzupełnień, bez wyrozumienia i empatii informuje, że takiego a takiego leczenia ubezpieczenie nie obejmuje, i radzi umierającemu, by założył zbiórkę na siepomaga.pl. Słowem, gdy Polak przyjdzie do państwa z realnym i dużym problemem, odkryje, że wiele pozytywnych zmian miało charakter fasadowy, a czasem wręcz pozorny. Właśnie wtedy, gdy poważniej zachoruje, gdy będzie chciał odzyskać pożyczone pieniądze albo uzyskać pozwolenie na podział nieruchomości, dotrze do niego świadomość, że na fundamentalnym poziomie dopuszczono się w Polsce olbrzymich zaniedbań. Że realia działania polskiego państwa i instytucji od niego zależnych zbyt często i w zbyt dużym stopniu nie dorównują pozytywnym opiniom, które coraz częściej słyszy się o Polsce za granicą. W końcu ponownie włączy radio, telewizję, zacznie czytać polskie portale i dowie się, że jeśli idzie o politykę, to w Polsce wciąż ludzie się nienawidzą – tak samo, jak wtedy, gdy wyjeżdżał. Zacznie się zastanawiać, czy istnieją jakiekolwiek szanse, by polska klasa polityczna na serio wzięła się do najpoważniejszych problemów. Jeśli uzna, że nie istnieją, zacznie być może kwestionować to, czy jego decyzja o powrocie miała sens. I może ją cofnąć. To realne zagrożenie, które już raz w III RP się zmaterializowało. Jak zauważa Znioi, aż 28 proc. osób powracających w okresie transformacji ponownie wyemigrowało. 73 proc. z tych osób przebywało w Polsce krócej niż rok.

Dobre kłótnie o „Lalkę"

Nie zrozumcie mnie źle. Widzę ogrom pozytywnych zmian. Większość z nich zaszła jednak w realnej gospodarce oddolnie albo została umożliwiona dzięki oddolnym działaniom. Wygłodniały sukcesu naród po 250 latach treningu w kombinowaniu przeciw zaborcom, najeźdźcom i okupantom mógł w końcu skanalizować to nietypowe know-how w ramach gospodarki rynkowej nastawionej na zysk. Ta okupiona cierpieniem pokoleń zaradność zaprocentowała. Widocznym objawem tego jest nawet obecna ogólnonarodowa dyskusja wokół netflixowej adaptacji „Lalki" Bolesława Prusa. Jest ona możliwa tylko dlatego, że platformę odwiedzają miesięcznie miliony użytkowników, przelewając jej co najmniej 37 zł za pakiet. A przecież to tylko jeden z wielu popularnych serwisów streamingowych. Polacy pokazują w ten sposób, że stać ich, aby płacić za rozrywkę, jeśli uznają ją za wartościową. I że mają czas nie tylko na jej konsumpcję, lecz także na dyskusje o niej. Czasami ostre, ale właściwie podnoszące na duchu każdego poloniste: Polacy są wrażliwi na kulturę.

Ktoś powracający z emigracji to natychmiast dostrzeże – oraz to, że w Polsce w 2026 r. można się cieszyć wygodnym życiem. Gdy opuszczał kraj, być może nie miał nawet internetu. W 2004 r. dostęp do niego miało 26 proc. gospodarstw. Był wolny i drogi. Teraz internet dociera aż do 96,2 proc. gospodarstw. Jest szybki i tani. Nasz emigrant być może nie miał nawet auta, bo było ich wtedy w Polsce ok. 12 mln, teraz jest ok. 23 mln. Był skazany na ograniczony wybór produktów i na wolne i zawodne państwowe usługi pocztowe. Dzisiaj ma zakupy przez internet, dostęp do produktów z całego globu i paczkomaty, które umożliwiają ich dostawę w kilka dni. Nie stać go było raczej na podróże lotnicze. Dzisiaj może zrobić sobie za grosze weekendowy wypad do Rzymu. Nawet mieszkań jest więcej. W roku akcesji Polski do UE oddano w Polsce do użytku nieco ponad 108 tys. nowych lokali mieszkalnych, w zeszłym roku ok. 209 tys. Nawet jeśli ich ceny są za wysokie (to akurat skutek rozmaitych działań państwa), to i tak nasz powracający do kraju Polak będzie mógł prędzej czy później pozwolić sobie na własne. Z pewnością to doceni i wpisze w kolumnę zalet ponownego zamieszkania w ojczyźnie.

A jeśli ma dzieci, to czy one dostaną szansę, której on w kraju w 2004 r. jeszcze nie dostrzegał? Nie jest to oczywiste. Jak wynika z opublikowanego w 2020 r. raportu Global Social Mobility Index na temat mobilności społecznej, jest ona w Polsce jedynie umiarkowana. Na 82 gospodarki Polsce przyznano 30. miejsce i 69,1 pkt na 100 możliwych. Czołówka zestawienia otrzymała powyżej 80 pkt, a niektóre państwa postkomunistyczne – np. Słowenia, Czechy, Estonia, Litwa – powyżej 70. Dziecko urodzone w Polsce ma więc wyraźnie mniejsze szanse na przekroczenie pozycji społecznej rodziców niż jego rówieśnik w Skandynawii, czy nawet w części Europy Środkowej.

Problem płynnych reguł

Brałem niedawno udział w nieformalnej dyskusji między polskimi przedsiębiorcami, akademikami i działaczami społecznymi. Wielu wskazywało, że Polacy mają zbyt niski apetyt na ryzyko i tym tłumaczyli np. niewystarczający poziom innowacyjności czy to, że – jak wynika z raportu Global Entrepreneurship Monitor 2025 – zaledwie 3 proc. obywateli planuje w ciągu najbliższych trzech lat otworzyć firmę (średnia dla Europy to 15 proc.).

Nie przekonuje mnie to tłumaczenie. Naród, który odważył się na tak wiele powstań zbrojnych, miałby nie mieć w sobie genu ryzyka? Dziwnym trafem gen ten ujawnia się w Polakach natychmiast, gdy wyjeżdżają za granicę, otwierają tam firmy i osiągają nieprawdopodobne sukcesy. Jeden z dyskutantów, utytułowany polski innowator, zauważył, że podobnie mogłoby być w Polsce, gdyby ludzie wzajemnie się inspirowali ambicjami i entuzjazmem. – Jeśli student spotyka na korytarzu innych studentów z zajawką na robienie czegoś ambitnego, sam będzie miał taką zajawkę. Jeśli spotyka defetystów, sam będzie defetystą. Bez względu na swoje IQ i talenty – mówił.

Tyle że właśnie tu jest problem: młodzi ludzie z zajawką wciąż wyjeżdżają z Polski, zostawiając za sobą defetystyczny legion. Co ich stąd przegania? Płynne reguły gry i sztywne struktury. Problemem jest prawo – autorskie, patentowe, podatkowe... I świadomość, że jeśli innowator uderzy w zastany porządek – korporację branżową czy nieefektywny oligopol – to napotka potężny opór, a państwo nie stanie po jego stronie. Dopóki to się nie zmieni, dopóty strumyk powrotów nie stanie się wielką falą. ©℗


FOT. WOJTEK GÓRSKI

Sebastian
Stodolak
wiceprezes Warsaw Enterprise Institute

eprasa.pl 25c31a5032

Kraj



FOT. LU JINGSHAN/SHUTTERSTOCK

Polski software na miękko

Jako jeden z powodów do dumy Polski jest przedstawiana cyfryzacja. Powodów do zmartwienia w dziedzinie oprogramowania też nam jednak nie brakuje

Piotr

Wójcik

Przewaga Stanów Zjednoczonych i dalekowschodniej Azji w produkcji kluczowego sprzętu elektronicznego (hardware) jest oczywista, więc łatwo byłoby dojść do wniosku, że kwestia wyścigu technologicznego jest już dla nas całkowicie stracona. Nawet najlepszy hardware nie będzie jednak funkcjonował bez oprogramowania. To właśnie software sprawia, że szybkie i sprawne współczesne komputery i urządzenia mobilne, oparte na układach scalonych wykorzystujących AI, są w ogóle przydatne. Silna pozycja w obszarze tworzenia aplikacji, systemów, programów i algorytmów może więc wyraźnie złagodzić skutki zapóźnienia na polu produkcji wysokiej techniki.

Nie każdy krzak to firma

Tworzenie własnych uniwersów oprogramowania nie tylko zapewnia większą suwerenność cyfrową, lecz także umożliwia zdobywanie wpływów na świecie i upowszechnianie określonych standardów. Niestety, również w tym obszarze Europa traci względem mających hegemoniczną pozycję Stanów Zjednoczonych, których platformy cyfrowe stopniowo wypierają konkurencję z kolejnych dziedzin życia. Poza tym tworzenie oprogramowania najwyższej klasy wymaga dostępu do równie dobrego sprzętu. Mimo to dogonienie rywali w produkcji software'u jest dużo łatwiejsze niż budowa długich łańcuchów produkcji, zapewnienie dostaw rzadkich komponentów i stworzenie sieci kooperantów oraz zdolności wytwórczych zaawansowanej elektroniki.

Określenie pozycji branży IT w gospodarce kraju nie jest proste, gdyż tego typu przedsiębiorstwa mają nieprzyjemną skłonność do unikania podatków dzięki silnemu zakorzenieniu w świecie cyfrowym. Według Eurostatu w 2025 r. najwyższy udział „informacji i komunikacji" w PKB notują Irlandia (aż 21 proc.), Malta (12 proc.) oraz Cypr (11 proc.). Trudno jednak uznać te trzy kraje za potęgi w tworzeniu oprogramowania. Irlandia stała się europejską rezydencją podatkową dla big-techów z USA, natomiast dwa pozostałe kraje – domem dla mniejszych szukających „przyjaznego otoczenia prawnego" firm informatycznych czasem wątpliwej proweniencji, jak Zondacrypto, która przed ulokowaniem się w Estonii najpierw zadomowiła się właśnie na Malcie. Cypr wybierają też firmy informatyczne uciekające z Rosji.

Średnia unijna udziału „informacji i komunikacji" w PKB to 5 proc., natomiast wynik Polski to 4,3 proc. (dokładnie tyle, ile w Niemczech). Analogiczny wskaźnik dla USA wynosi ok. 8 proc. PKB. Do tego poziomu zbliża się część państw Europy Środkowej i Wschodniej – mowa o Czechach i Rumunii, notujących ok. 7 proc. PKB (w tym drugim przypadku znów w części chodzi jednak o turystykę podatkową, więc wzorowanie się na Bukareszcie byłoby trafianiem jak kulą w płot). ▷

eprasa.pl 25c31a5032

Polska odstaje także pod względem zatrudnienia specjalistów ICT – nad Wisłą odpowiadają tylko za 4,5 proc. pracujących (szóste miejsce od końca). Średnia UE była o 0,5 pkt proc. wyższa.

Indukcyjny impakt

Bardziej precyzyjny ogląd zapewni udział w PKB inwestycji w ICT (information & communication technology), a w szczególności w sam software i bazy danych. Według danych OECD w Europie to 1,8 proc. PKB, w Polsce zaledwie 0,6 proc., tymczasem w USA aż 2,8 proc. (dane za 2024 r.). W pierwszej piątce przeważają jednak państwa ze Starego Kontynentu – Szwajcaria (5,7 proc.), Szwecja (4,3 proc.) oraz Czechy (3,4 proc.), uzupełnione przez Izrael (3,7 proc.) i właśnie Stany Zjednoczone. Cały sektor ICT wywiera jednak przemożny wpływ na inne działy gospodarki. Zapewnia narzędzia dla niezliczonych branż (finanse, handel, media) i pozwala wdrażać nowe rozwiązania. W raporcie „Sektor ICT w krajach Trójmorza regionalnym motorem wzrostu" Polskiego Instytutu Ekonomicznego z 2023 r. wykazano łączny wpływ branży informatycznej na gospodarkę.

„Łączna wartość sprzedaży w danym sektorze nosi nazwę wpływu (wartości) bezpośredniego, a wartość powstałej w ten sposób produkcji w sektorach powiązanych nosi nazwę wpływu (wartości) pośredniego. Z kolei każda produkcja prowadzi do wypłaty pensji pracownikom, którzy z kolei za zarobione środki dokonują zakupów dóbr i usług. O ile te produkty i usługi nie pochodzą z importu, zwiększają popyt na produkcję w krajowej gospodarce – ten efekt jest określany mianem wpływu (wartości) indukowanego" – czytamy w publikacji PIE.

Według tej metodologii w Polsce łączny udział ICT w wartości dodanej wyniósł 8 proc., czyli był dwukrotnie wyższy od samego wpływu bezpośredniego. Mimo to na tle krajów regionu był przeciętny. W Czechach impakt informatyki sięgnął 12 proc. wartości dodanej, a na Węgrzech ok. 10 proc. Oczywiście Polska jest znacznie większa od Czech i Węgier, a tym samym ma znacznie bardziej zdywersyfikowaną gospodarkę. W państwach UE o porównywalnej wielkości waga ICT jest bardzo podobna.

Systemy bez ludzi

Warszawa odniosła jednak na tym polu pewne sukcesy. Najczęściej przytaczanym sukcesem jest cyfryzacja państwa, która nad Wisłą faktycznie przyspieszyła, chociaż opowieści o polskiej dominacji pod tym względem są przesadzone. Według publikowanego przez Komisję Europejską „eGovernment Benchmark 2026", Polska otrzymała 78,5 pkt na 100 możliwych, co było wynikiem nieco powyżej średniej unijnej (76,6). Bardzo wysokie noty (ok. 84) Polska uzyskała w dwóch kategoriach dostępności: cyfrowych usług publicznych oraz przyjaznego dla użytkowników interfejsu. Dużo jednak straciła w „interoperacyjności" (70,8), czyli w kategorii zawierającej m.in. bezpieczeństwo uwierzytelniania (zaledwie 61,2). Niedawny wyciek danych kilkunastu milionów polskich pacjentów niejako potwierdza te noty.

Na tle dużych krajów UE Polska wypadła zasadniczo bardzo przyzwoicie. We Francji eGovernment Benchmark wyniósł ledwie 66, natomiast w Niemczech zaledwie 64,2. Najlepsi przebili jednak barierę „90" – mowa o Finlandii i Estonii. Najczęściej przytaczanym polskim osiągnięciem na tym polu jest mObywatel, czyli aplikacja zawierająca cyfrowe dokumenty osobiste (dowód, prawo jazdy) oraz umożliwiająca skorzystanie z wielu usług – m.in. z podpisu kwalifikowanego. Wiele innych państw UE ma podobne rozwiązania (m.in. France Identité czy niemiecki AusweisApp), chociaż mObywatel niewątpliwie wyróżnia się na tym tle liczbą opcji oraz dostępnością w urządzeniach mobilnych (aż 96,7 pkt). Powyżej 90 pkt Polska uzyskała także w zakresie wsparcia użytkowników, ogólnej dostępności sieci oraz przejrzystości aplikacji.

Mimo wszystko Polska i tak jest na szarym końcu pod względem wykorzystywania dostępnych usług publicznych w sieci. Według Eurostatu w 2025 r. zaledwie 61 proc. Polek i Polaków skorzystało z publicznych aplikacji lub stron internetowych do załatwienia swoich spraw. To czwarty wynik od końca – średnia unijna wyniosła 72 proc. Słabiej wypadły tylko Włochy (58 proc.), Bułgaria (36 proc.) i Rumunia (24 proc.). W Danii i Holandii ponad 95 proc. społeczeństwa skorzystało z publicznych usług cyfrowych. To skutek bardzo niskiego poziomu edukacji cyfrowej naszego społeczeństwa. Według Eurostatu w 2025 r. zaledwie 50,4 proc. Polaków miało przynajmniej podstawowe kompetencje cyfrowe. Średnia unijna wyniosła 10 pkt proc. więcej. Wśród liderów (państwa nordyckie i Holandia) może się nimi pochwalić ponad 80 proc. ludności. Ten czynnik to jedna z głównych barier cyfryzacji kraju, gdyż nawet najlepsze rozwiązania nie zdadzą się na wiele, gdy większość ludności nie potrafi z nich korzystać.

Równocześnie specyfika polskiej gospodarki, nastawionej na wytwórczość przemysłową, sprawia, że podmioty gospodarcze chętnie korzystają z narzędzi cyfrowych. W przedsiębiorstwach wytwórczych niezbędna jest dokładna analiza procesów i stanów magazynowych. Dzięki temu rozwija się krajowa produkcja systemów ERP (Enterprise Resource Planning), służących do zarządzania zasobami. Według raportu „Perspektywy ERP 2026" z systemów ERP w chmurze korzysta ok. 39 proc. firm. Równocześnie niemal połowa badanych przedsiębiorstw narzeka na brak specjalistów do ich obsługi. Jak widać, bez ludzi nawet najlepszy algorytm nie zda się na wiele. ©℗

Więcej tekstów tego autora: skanuj kod! DGP.pl

PiS już nigdy nie będzie rządzić samodzielnie

Wariant bazowy jest jasny: startujemy do Sejmu samodzielnie, jesteśmy gotowi do rozmów w sprawie Senatu. Jedno jest pewne: Prawo i Sprawiedliwość musi się ćwiczyć w tworzeniu koalicji

Z Piotrem

Müllerem

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

> Zdrajcy, którym opadły maski i weszli w układ z Donaldem Tuskiem.

Tak, niepodrabialny styl. (śmiech) Najlepsze było chyba to o niemieckich agentach, którzy zostali uruchomieni w odpowiednim momencie.

> Śmieje się pan, ale ten przekaz idzie do głów i serc waszych potencjalnych wyborców. Trudno robić politykę z łatką zdrajcy.

Spodziewałem się, że prędzej czy później ta maszyna ruszy, zwłaszcza że ster władzy komunikacyjnej w Prawie i Sprawiedliwości w pełni przejęli już ludzie związani z dawną Suwerenną Polską oraz ich akolici. Niektórym marzy się tam uformowanie Silnych Razem na własną modłę, ale wyborcy prawicy pozostali na to odporni. Pokazał to ostatni sondaż, w którym większość dobrze ocenia wybór Marcina Horały na wicemarszałka Sejmu. Do kogo ma trafić absurdalna narracja o zdrajcach? Przecież to Mateusz Morawiecki był przez sześć lat premierem Zjednoczonej Prawicy stawiającej odpór Donaldowi Tuskowi. Parlamentarzyści Rozwoju Plus przez lata byli twardą opozycją. Twierdzenie, że jesteśmy współpracownikami Tuska, to próba wbicia wyborcom do głów tępej propagandy za pomocą łopaty. Donald Tusk jest naszym głównym oponentem. Rządy jego ekipy są tamą dla rozwoju Polski. My chcemy to zmienić. Albo postawimy na rozwój i zmianę złego rządu, albo czeka na nas krach gospodarczy. Widać to chociażby po ostatniej decyzji agencji Moody's, która obniżyła rating Polski. Ekipa Tuska pokazuje, że nie potrafi prowadzić odpowiedzialnej polityki fiskalnej, a duet Tusk i Domański to Pat i Mat z serialu „Sąsiedzi".

> Z tej samej łopaty korzystaliście przez lata, gdy jeszcze byliście na pierwszej linii ognia w PiS – tyle że używaliście jej wobec innych.

Żałuję, że pan nie słyszał toczących się wtedy wewnętrznych dyskusji. Ale nie będę się tym usprawiedliwiać. W polityce niektórym przyświeca zasada, że cel uświęca środki. My na to nie będziemy się godzić. Zresztą tego typu myślenie działa tylko krótkoterminowo. W dłuższej perspektywie radykalna frakcja zawsze na tym przegrywa. Mamy przecież kontakt z wyborcami PiS i oni są oburzeni decyzją, by okładać nas w ten sposób. Widać to też w sondażach, w których PiS spadł poniżej 20 proc. Na spotkaniach z wyborcami mówimy, że mamy wspólnego politycznego przeciwnika: to Donald Tusk i jego ekipa, której nie zależy na rozwoju Polski, tylko na samej władzy.

> Dowodem na zdradę ma być to, że nie zagłosowaliście przeciwko ustawie dotyczącej wykonywania orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. W zamian dostaliście fotel wicemarszałka dla Horały.

Przecież to jest absurd. Nie poparliśmy tej ustawy. Wstrzymaliśmy się. Ta ustawa przeszłaby przez parlament bez względu na nasze stanowisko. Ten typ działań narracyjnych jest charakterystyczny dla tercetu Kurski–Jaki–Matecki, który wyznaje zasadę, że ludzie nie mają narzędzi, by weryfikować wrzucane im tezy. Wyborcy są inteligentniejsi, niż im się wydaje. I ja, i moi koledzy z Rozwoju Plus głosowaliśmy w Parlamencie Europejskim przeciw przepisom „chat control", które otwierają furtkę do prewencyjnej inwigilacji. Patryk Jaki apelował o dyscyplinę w naszej grupie w PE, aby głosować za. To jedno z pól, które nas różni od PiS: jesteśmy zwolennikami wolności, a nie prewencyjnej kontroli i meblowania wszystkim życia.

> Szczerze mówiąc, przez te dwa miesiące, od kiedy wyszliście z PiS, nie zauważyłem żadnej większej różnicy.

To za krótko, żeby wszystko wybrzmiało, ale w najbliższych tygodniach tę różnicę będzie widać dużo mocniej.

> Złożyliście wniosek o dymisję rzeczniczki praw dziecka, PiS – też. Publikujecie raport o armii – PiS zapowiada debatę na ten temat. Organizujecie kongres samorządowy – PiS również chce

eprasa.pl 25c31a5032

mocno działać na tym polu. Jak wyborca ma was dzisiaj rozróżnić poza tym, że się okładacie w mediach społecznościowych?

W każdym z przypadków, które pan wymienił, to PiS podąża naszymi śladami. Mam nadzieję, że przy okazji propozycji dla armii też tak będzie. Pytał pan o różnice: nie jesteśmy zwolennikami łączenia funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, a PiS dalej się marzy, by to polityk sprawował całą tę władzę. Po latach przyglądania się temu z bliska wiemy, że to niebezpieczne. Ostrzegaliśmy, że szkodliwa polityka Zbigniewa Ziobry prędzej czy później obróci się przeciwko tym, którzy myśleli, że zawsze będą rządzić. Widzimy to w kierowanej przez Waldemara Żurka prokuraturze. Różnimy się też na polu gospodarki. W PiS wciąż panuje przeświadczenie, że licznik zadłużenia nie jest ważny. Transformacja energetyczna? Jesteśmy przeciwni Zielonemu Ładowi czy systemowi ETS, ale zarazem wiemy, że odnawialne źródła energii są w Polsce potrzebne. Nie można tego zbywać hasłami w stylu „OZE-sroze".

PiS intensywnie pracuje nad powrotem waszych posłów na łono partii matki. Posła Skwarka już złamali. Wirtualna Polska donosi, że następni w kolejce są Uściński, Bartosik, Kryj, Kwiecień...

To plotki. W tym samym czasie przyjmujemy dziesiątki nowych członków do naszego stowarzyszenia. Zgłoszeń było na tyle dużo, że musieliśmy uruchomić wewnętrzny system, by przyspieszyć akcję rekrutacyjną. Mamy już kilka tysięcy zarejestrowanych sympatyków i zaangażowanych członków. Do tego przechodzą do nas kolejni radni, np. na Pomorzu, co ogłosimy w piątek. W weekend odbywa się nasz kongres samorządowy. Nie słyszałem, żeby po naszym odejściu zapisał się do PiS ktokolwiek poza dwiema osobami – posłem i radnym z Lubelszczyzny, którzy od nas odeszli.

PiS ma struktury nieporównywalnie większe od waszych.

Oczywiście, bo my dopiero startujemy i to w trudnych okolicznościach. Musieliśmy się przeorganizować w środku wakacji, gdy nas wyrzucono z partii. Ale spokojnie, sezon polityczny trwa trzy tygodnie i nasza pozytywistyczna praca u podstaw będzie przynosić efekty: nie będzie jednorazowego efektu „wow", ale poparcie będzie stabilnie rosło wraz ze strukturami.

I co dalej? Rejestracja partii na rocznicę wyborów 15 października?

Nie ma pośpiechu z rejestracją. Na połowę października przygotowujemy wydarzenie polityczne, techniczny aspekt rejestracji ugrupowania jest wtórny. Po tych pierwszych tygodniach wydaje się zresztą, że formuła stowarzyszenia sprzyja temu, by różne środowiska – samorządowe, przedsiębiorców, lokalnych aktywistów – dołączały właśnie nie do partii. Ale prędzej czy później partia będzie musiała powstać – po prostu z powodów technicznych.

Nazwa do zmiany?

Mamy w tej sprawie kawał dyskusji za sobą i pewnie podobny przed sobą. Historia pokazuje, że czasem fakty dokonane robią swoje. Ludzie powoli zaczynają się przyzwyczajać do Rozwoju Plus.

Amerykanie zapraszają Rosję na szczyt G20. Jak Polska powinna reagować na próby resetu w tak niespokojnych czasach?

Żebym mógł panu odpowiedzialnie odpowiedzieć na to pytanie, trzeba by zasięgnąć informacji wywiadowczych. Apelowaliśmy – zwłaszcza premier Mateusz Morawiecki – żeby szef rządu zorganizował spotkanie liderów partii i odtajnił informacje. Dzięki temu wszyscy wyrobiliby sobie zdanie. Inaczej jesteśmy zdani na strzępki informacji, jak ta o „raporcie CIA", który, jak się okazało, nigdy nie istniał w formie pisemnej.

Łatwo się mówi w opozycji: proszę zwołać, podzielić się, nie grajmy tematem bezpieczeństwa.

Łatwo się mówi w opozycji, ale akurat Mateusz Morawiecki ma za sobą test w tej sprawie. Pod koniec 2021 r., po informacjach od Amerykanów dotyczących Ukrainy, w kancelarii premiera odbyło się spotkanie z liderami partii politycznych. Pamięta pan? Dlaczego dzisiaj nie można postąpić podobnie? Donald Tusk od wielu miesięcy mówi różne rzeczy na temat potencjalnego zagrożenia. Nie chodzi o to, że mu nie wierzę albo że przesadza ze straszeniem. Możliwe, że sprawy wyglądają bardzo groźnie, ale jeśli tak jest, to tym bardziej należy się nam poważna dyskusja. Gdy więc pan pyta o ruch Amerykanów wobec Rosji, trzeba złapać głębszy oddech i zdobyć większą wiedzę. Oczywiście nie jesteśmy zwolennikami żadnego resetu z Rosją.

Prędzej czy później może się okazać, że Polska musi się do tego ustosunkować.

Dobrze by było, gdyby oprócz ustosunkowania się była też nakreślona rola Polski przy konstrukcji nowego porządku. Bez informacji, które mają charakter niejawny, trudno o pełną analizę.

Powinniśmy się szykować na wojnę z Brukselą, jak zapowiada Przemysław Czarnek? Czy będzie się pan upierał przy teorii Morawieckiego, według której trzeba próbować się dogadać?

Pytanie, jaka jest realna alternatywa wobec próby dogadania się. Jak inaczej ułożyć politykę unijną, nie walcząc o interesy – czasem bezpośrednio z Francuzami czy Niemcami, a czasem przez urzędnicze boiska Komisji Europejskiej? Obecność w Unii Europejskiej to twarda i niekończąca się gra, w której nigdy nie można powiedzieć: OK, wygraliśmy, teraz można odpocząć. Tu nigdy nie będzie ostatecznego zwycięstwa; to dziesiątki prowadzonych równolegle partii szachów: legislacja dotycząca gospodarki, środowiska...

Kluczowe jest to, czy wyciągnęliście wnioski po Krajowym Planie Odbudowy, projekcie, który miał być nowym planem Marshalla i kampanijnym złotem. Wydrukowaliście billboardy, zamówiliście spoty, a Bruksela pieniędzy nie dała. Warto było pójść na ten kompromis?



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Piotr Müller, członek Rozwoju Plus, poseł do Parlamentu Europejskiego. Były wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, sekretarz stanu w kancelarii premiera i rzecznik prasowy rządu PiS

Krajowy Plan Odbudowy był negocjowany, gdy nie mieliśmy pojęcia, jak długo jeszcze potrwa pandemia koronawirusa. Gdyby potrwała dłużej, a gospodarka dostała więcej piachu w tryby, to każdy mówiłby dziś inaczej. Nikt nie był jasnowidzem, choć z perspektywy czasu widać, że Bruksela zagrała politycznie ostro, a Tusk rękami von der Leyen wykorzystywał ten lewar, by wpłynąć na wybory w Polsce.

Konrad Szymański widzi to inaczej – że KPO nie zagrało tak, jak powinno na własne życzenie, zarówno w gospodarce, jak i w kampanii.

I ma sporo racji, ale trzeba by wejść w niuanse i punkt po punkcie przeanalizować harmonogram porozumień i poprawek dorzucanych przez ludzi Zbigniewa Ziobry. Można by o tym eseje pisać. Wracając do pana głównego pytania, wskazałbym na postawę premier Meloni: czasem dogada się w jednej sprawie, a w drugiej nie, czasem szantażują Rzym ryzykiem niewykupienia ich obligacji, czasem uda się wygrać inne bitwy. Polska musi grać podobnie: pragmatycznie, a nie dogmatycznie.

O Trybunale Konstytucyjnym i wymiarze sprawiedliwości też pan tak powie?

Tak. Wkrótce przedstawimy rozwiązania, jak wyjść z klinczu, w którym się znaleźliśmy.

Bohatersko rozwiążecie problem, który sami jako członkowie PiS stworzyliście.

Znów trzeba by tu się odwołać do wewnętrznych dyskusji. Powiem inaczej: sztuką w polityce, ale i szerzej, w życiu, jest wyciągać wnioski z błędów, a nie trwać w nich do końca i opowiadać, że tak ma być, bo zjedliśmy wszystkie rozumy. Nikt dziś nie może powiedzieć, że TK nie ma i wzruszyć ramionami na wyroki, które zapadają. To łamanie prawa. Na przyszłość trzeba wymyślić inne rozwiązania dotyczące wyboru sędziów.

Wystarczy, że prezydent uzna wybór Sejmu. Zawsze tak było.

Procedura zakłada, że wybrany przez Sejm sędzia odbiera ślubowanie przed prezydentem. W przypadku Macieja Berka dochodzi jeszcze kwestia niespełnienia wymogów ustawowych, co pokazaliśmy na stronie berek-fakty.pl. Wyciągnijmy wnioski. Aktualny system wyboru sędziów się nie sprawdza.

Stugębna plotka na mieście jest taka, że dzisiaj prężycie muskuły, odcinając się od PiS, a za rok o tej porze będziecie dogadywać wspólne listy.

Nie widzę możliwości, żebyśmy startowali z list komitetu PiS jako Rozwój Plus. Zostaliśmy wyrzuceni z partii nie trzy lata przed wyborami, lecz rok, co wymusiło nasze zaangażowanie w terenie. Zresztą, jak ludzie, którzy uważają nas za zdrajców, mieliby się z nami dogadać? (śmiech) Wariant bazowy jest jasny: startujemy do Sejmu samodzielnie, jesteśmy gotowi do rozmów w sprawie Senatu. Jedno jest pewne: PiS już nigdy nie będzie rządzić samodzielnie i musi się ćwiczyć w tworzeniu koalicji, zapewne trudnych. Między Bogiem a prawdą, w interesie samego PiS jest to, aby Rozwój Plus rósł w siłę. Pamięta pan, jak Donald Tusk na pewnym etapie kampanii mrugnął do wyborców okiem, by głosowali na Trzecią Drogę? Zrozumiał, że nie będzie hegemonem w koalicji. I to samo muszą dziś zrozumieć w PiS, nauczyć się szanować potencjalnych koalicjantów.

Od razu możemy się rozejść. Fantastyka dwie półki wyżej.

Innej drogi niż ta trudna lekcja nie ma. Przez osiem lat rządów załatwiliśmy mnóstwo spraw: od gospodarki po wyrównywanie szans. Ale samodzielne rządzenie zrobiło solidne wyrwy w myśleniu o polityce i koalicjach. Dzisiaj to już pieśń przeszłości. My mówimy wprost – naszym przeciwnikiem jest Donald Tusk, a silny Rozwój Plus jest gwarancją, że tę ekipę będzie można odsunąć od władzy.

Panu się łatwo mówi o niezależności od PiS. Jest pan młody, fucha w europarlamencie, kadencja długa. Da pan sobie radę. A co mają myśleć 50-, 60-, 70-latkowie z PiS, których za chwilę będą kusić na spotkaniu z prezesem dobrym miejscem na listach wyborczych?

Przykłady posłów Latosa, Kubiaka czy Kołakowskiego pokazują, ile warte są takie obietnice. Darzę ogromnym szacunkiem tych, którzy mieli odwagę walczyć o lepszy PiS, założyć stowarzyszenie, a potem ustać frontalny atak, gdy Suwerenna Polska przejęła tę partię. Co do logiki list wyborczych: idąc pana tropem, może się okazać, że w przyszłym parlamencie PiS będzie miał o połowę mniej posłów, niż miał w 2023 r., więc nawet na poziomie wyborczego pragmatyzmu Rozwój Plus może mieć lepszą ofertę niż Nowogrodzka. ©℗

eprasa.pl 25c31a5032

Świat

Grenlandia. Remis ze wskazaniem

Z amerykańsko-duńsko-grenlandzkiego porozumienia cieszą się wszystkie jego strony, ogłaszając swój sukces. Kto więc wychodzi zwycięsko z wielomiesięcznego kryzysu? Tak naprawdę... NATO i „strategiczny Zachód". Przynajmniej tymczasowo

Witold

Sokała

Prezydent USA Donald Trump, premier Danii Mette Frederiksen oraz premier Grenlandii Jens-Frederik Nielsen podpisali we wtorek porozumienie, które – wedle słów jego sygnatariuszy – kończy długotrwały impas wokół bogatej w surowce wyspy, w dodatku strategicznie położonej u wrót Arktyki i ułatwiającej kontrolę nad północnym Atlantykiem. Nastąpiło to w Nowym Jorku, w trakcie sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych, tuż po przemówieniu Trumpa, w którym po raz kolejny zarysował on swoją wizję świata i stosunków międzynarodowych.

To bardzo istotny kontekst, warto bowiem zauważyć, że kwestii Grenlandii amerykański przywódca poświęcił relatywnie niewiele czasu. Skupiał się raczej na wojnie z Iranem, na zwalczaniu przestępczości narkotykowej



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (7), LEIGH MILES/UNSPLASH

eprasa.pl 25c31a5032

i związanych z tym geostrategicznych planach wobec poszczególnych państw Ameryki Łacińskiej, na rytualnych zapewnieniach o bliskim zaprowadzeniu przez USA pokoju w Ukrainie, a także na kolejnych atakach na Międzynarodowy Trybunał Karny oraz samą ONZ. Co charakterystyczne, temat rywalizacji z Chinami pojawił się głównie w kontekście wyścigu technologicznego i sztucznej inteligencji, co bez wątpienia stanowiło dyplomatyczne przygotowanie do spotkania z Xi Jinpingiem.

Wykazana przez Trumpa powściągliwość w kwestiach arktyczno-atlantyckich mogła wynikać ze świadomości, że Waszyngton jest bardzo daleko od osiągnięcia wielkich celów, które sam nie tak dawno ogłaszał. Również z przekonania, że żmudny proces negocjacyjny, który doprowadził do uzgodnienia treści umowy niemal w ostatniej chwili, łatwo zakłócić jednym nieopatrznym słowem, a więc dopóki podpisy nie zostaną złożone, sukces (względny i ograniczony, ale jednak namacalny) może się zmienić w spektakularne niepowodzenie.

Wikingowie i Amerykanie

Grenlandia – największa wyspa na świecie, położona w sąsiedztwie kontynentu północnoamerykańskiego i zamieszkana przez ludy inuickie – już od przełomu IX i X w. była odwiedzana przez wikingów. Odkrywcy zakładali tam nawet swoje bazy, a nazwanie jej przez Eryka Rudego Grønland, czyli „zieloną ziemią", miało wedle niektórych historyków charakter marketingowy, czyli służyło przyciąganiu kolonistów.

Skandynawskie osadnictwo utrzymało się do XV w., potem na długo zanikło, ale połączone królestwo duńsko-norweskie nieprzerwanie rościło sobie prawa do wyspy. W XVIII stuleciu znów pojawiły się duńskie faktorie handlowe, z czasem nawet ufortyfikowane, a także wprowadzony jednostronnie przez Kopenhagę państwowy monopol na wszelki handel. W XIX w. nasiliły się na Grenlandii badania przyrodnicze i geologiczne, a biznes zainteresował się potencjalnymi zyskami. Głównie dlatego, licząc na łatwiejszy dostęp do bogactw ukrytych pod lodem oraz w okolicznych wodach, w 1867 r. Stany Zjednoczone po raz pierwszy poważnie rozważały możliwość odkupienia wyspy. Pomysł spotkał się jednak z wyraźną niechęcią zarówno Duńczyków, jak i amerykańskiej opinii publicznej, która uznała go za niedorzeczny i szalony – został więc porzucony.

W 1905 r., natychmiast po uzyskaniu niepodległości, swoje pretensje do zwierzchnictwa nad Grenlandią (lub przynajmniej jej częścią) zgłosiła za to Norwegia. Oslo posunęło się nawet do cichego wsparcia „prywatnej okupacji" dużych terytoriów na wschodzie wyspy przez awanturniczego trapera i badacza Hallvarda Devolda w 1931 r., a wkrótce później do formalnej aneksji Ziem, Eryka Rudego. Dania odwołała się wtedy do trybunału międzynarodowego w Hadze, który dwa lata później wydał korzystny dla niej werdykt. Norwegia go uszanowała i trwale zwinęła swoją obecność na wyspie. Oslo i tak stworzyło jednak precedens, do którego całkiem niedawno nawiązali niektórzy amerykańscy publicyści związani z ruchem MAGA, sugerując możliwość zastosowania „prywatnej inicjatywy" w odniesieniu do szczególnie atrakcyjnych części Grenlandii lub nawet całej wyspy, czyli polityki faktów dokonanych bez narażania autorytetu rządu Stanów Zjednoczonych.

Aspiracje amerykańskie powróciły w czasie II wojny światowej – tym razem na tle strategicznym. Jeszcze przed przystąpieniem do koalicji antyhitlerowskiej politycy i wojskowi z USA z niepokojem obserwowali wzrost niemieckiego zainteresowania Grenlandią, który oceniali jako godzący w doktrynę Monroe'a i stanowiący wyzwanie dla amerykańskich interesów bezpieczeństwa.

Gdy po zajęciu europejskiej części Danii Niemcy spróbowali zakładać na południu arktycznej wyspy stacje meteorologiczne, do zdecydowanej akcji przystąpiły jednostki Straży Przybrzeżnej USA, likwidując te przyczółki. Z kolei dyplomaci szybko doprowadzili do pisemnego porozumienia z urzędującym nadal w Waszyngtonie duńskim ambasadorem Henrikiem Kauffmannem. Stany Zjednoczone zobowiązały się do zagwarantowania bezpieczeństwa Grenlandii w zamian za prawo do ulokowania tam swoich baz wojskowych. Przełożeni Kauffmanna uznali ten akt za nieważny, jego samego zaś za zdrajcę, ale Amerykanie uznali zbuntowanego ambasadora za legalnego przedstawiciela „wolnej Danii" i w październiku 1941 r. założyli swoją pierwszą grenlandzką bazę (przeznaczoną głównie dla sił lotniczych Blue West w Søndre Strømfjord), a wkrótce potem kolejne.

Strategia i biznes

Stany Zjednoczone konsekwentnie dążyły wówczas do utrzymania Grenlandii poza niemiecką strefą wpływów głównie w celu zabezpieczenia północnoatlantyckiego szlaku zaopatrzeniowego. Budowały lotniska, bazy morskie i stacje meteo, a ich personel na wyspie niebawem osiągnął stan 5,5 tys. osób.

Po pokonaniu Niemiec, ale już zdając sobie sprawę z nadchodzącego konfliktu ze Związkiem Radzieckim, prezydent Harry Truman chciał w 1946 r. kupić wyspę za 100 mln dol. w złocie. Kopenhaga nie tylko odmówiła sprzedaży, lecz nawet przejściowo domagała się zakończenia amerykańskiej obecności wojskowej. Podjęto jednak negocjacje w sprawie nowego porozumienia, na mocy którego w 1951 r. siły zbrojne USA pozostały na Grenlandii – tym razem w ramach współpracy sojuszników z NATO.

Prawie przez całą zimną wojnę Waszyngton utrzymywał na wyspie ponad 10 tys. żołnierzy obsługujących 17 baz i instalacji wojskowych. Nadal chodziło o kontrolę szlaków morskich, istotnych dla zaopatrzenia przez Amerykanów europejskiego teatru potencjalnych działań wojennych. Pojawiły się jednak nowe, jeszcze ważniejsze czynniki. Najpierw zdolność projekcji siły w Arktyce, czyli posiadanie dogodnych baz dla bombowców i wyrzutni rakiet balistycznych, bo przecież to nad biegunem północnym wiodła dla nich najkrótsza droga do centrów politycznych i przemysłowych przeciwnika. Lokowano więc nad brzegami mórz arktycznych zarówno systemy ofensywne, jak i defensywne. Nieco później, gdy głównym narzędziem planowanej wojny stały się okręty podwodne z głowicami jądrowymi na pokładzie, chodziło o utrudnienie radzieckiej flocie korzystania z baz w rejonie Murmańska i Archangielska (do których tymczasem przeniesiono jej główne siły nuklearne w związku z ograniczoną przydatnością tradycyjnych lokalizacji nad Morzem Czarnym i Bałtykiem). To stamtąd okręty ZSRR najłatwiej mogły się przedrzeć w dowolne miejsce otwartego oceanu światowego, by następnie ukryć się w głębinie i straszyć Zachód zagładą. Grenlandzkie bazy stanowiły więc jeden z ważniejszych elementów globalnego systemu obronnego NATO.

Po zakończeniu zimnej wojny strategiczna atrakcyjność wyspy gwałtownie spadła, ale wróciły zakusy na jej bogactwa naturalne – ropę i gaz, zwierzęta morskie, diamenty, uran, a przede wszystkim pierwiastki ziem rzadkich. W miarę narastania globalnej rywalizacji pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a budującymi swą potęgę Chinami do łask powrócił także temat militarnego znaczenia Grenlandii w związku z jej specyficznym położeniem geograficznym.

W roku 2019, podczas swej pierwszej kadencji prezydenckiej Donald Trump odświeżył więc stare pomysły z czasów Abrahama Lincolna i Harry'ego Trumana. Kopenhaga jednak znowu stanowczo odmówiła sprzedaży Grenlandii, która w międzyczasie uzyskała status autonomicznego terytorium zależnego Danii.

Sojusznicy czy wrogowie?

U progu drugiej kadencji Trump zagrał więc znacznie ostrzej. Wobec niezmiennego stanowiska rządu duńskiego wprost zagroził siłową aneksją Grenlandii, ewentualnie wsparciem dla ruchów separatystycznych na wyspie i działaniami asymetrycznymi, wykorzystującymi miks narzędzi politycznych, ekonomicznych i wywiadowczo-dywersyjnych, aby podważyć duńskie panowanie. Uzasadniał to na zmianę potrzebami wojskowo-strategicznymi USA, w tym koniecznością blokowania chińskich aspiracji w Arktyce oraz kontrolą dostępu do atrakcyjnych zasobów, i dobrem samych mieszkańców, jakoby zaniedbywanych przez władze w Kopenhadze.

Bez wątpienia za tą ofensywą czaiły się też inne czynniki. Prezydent USA bardzo potrzebował potwierdzenia swej siły i sprawczości w oczach własnych i swojego elektoratu, do czego świetnie nadawałoby się spektakularne powiększenie terytorium Stanów Zjednoczonych. To dlatego chciał (lub przynajmniej udawał, że chce) siłą brać coś, co de facto mógł mieć po dobroci. Wszak zarówno Kopenhaga, jak i władze grenlandzkiej autonomii parokrotnie deklarowały w tym okresie otwartość na nowe porozumienia zarówno w sprawie rozbudowy baz wojskowych, jak i te gospodarcze, dotyczące inwestycji w eksploatację zasobów czy modernizację infrastruktury (choć z poszanowaniem wyśrubowanych norm środowiskowych), jak również na „uwzględnienie uzasadnionych interesów bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych", jak ujmowali to liderzy Danii i Grenlandii. Zamiast negocjować, Trump wolał jednak zwiększać presję i podgrzewać atmosferę.

Apogeum tej operacji psychologicznej nastąpiło w styczniu, wywołując ostry kryzys wewnątrz Paktu Północnoatlantyckiego. Warto przypomnieć, że sama Dania zdecydowała się wtedy podjąć liczne kroki zwiększające jej obecność wojskową na Grenlandii z obawy przed potencjalną agresją już nie ze strony Moskwy czy Pekinu, lecz Waszyngtonu. W geście solidarności swoje – symboliczne, ale jednak – siły zbrojne wysłali na wyspę także niektórzy europejscy członkowie NATO. Chyba nigdy w historii sojusz ten nie znalazł się tak blisko krachu. Z oczywistych względów cieszyło to nie tylko skrajnych izolacjonistów w USA, równie radykalnych wrogów współpracy z USA i zwolenników „europejskiej niezależności strategicznej" na Starym Kontynencie, lecz także – przede wszystkim – przywódców Rosji oraz Chińskiej Republiki Ludowej.

Co bardziej racjonalni politycy i eksperci państw zachodnich oraz pozaeuropejskich sojuszników USA, zwłaszcza na Bliskim i Dalekim Wschodzie, obserwowali te szarże z niepokojem. Zastanawiali się bowiem już nie tylko nad faktycznym znaczeniem amerykańskich gwarancji (do tego przywykli nieco wcześniej), lecz także nad prawdopodobieństwem scenariusza, w którym główny sojusznik, zamiast wspierać ich w konflikcie z realnymi wrogami, sam staje się wrogiem ▷

Niezależnie od przeróżnych propagandowych fajerwerków treść podpisanego porozumienia (które formalnie zastępuje umowę z 1951 r.) okazała się bardzo ostrożna i niewiele zmieniająca w realnym układzie sił

eprasa.pl 25c31a5032

naruszającym ich suwerenność. Również przez otwartą agresję zbrojną.

Wzmożonym emocjonalnie kibicom Donalda Trumpa i MAGA to bynajmniej nie przeszkadzało – chyba wręcz przeciwnie, traktowali uruchomione przez Biały Dom procesy jako pożyteczny element przebudowy świata w pożądanym kierunku. Profesjonaliści wewnątrz ekipy Trumpa i na jej intelektualnym zapleczu chyba jednak doszli do wniosku, że straty mogły łatwo przewyższyć zyski. Zaufanie buduje się bowiem latami, a traci niekiedy w jednej chwili, USA zaś znalazły się niebezpiecznie blisko takiego punktu. O zdolności do samodzielnego funkcjonowania w globalnej grze można zaś barwnie opowiadać na wiecach wyborczych i w podkastach, ale o wiele trudniej realizować ją w praktyce, o czym USA – mimo swej niewątpliwej i wielowymiarowej potęgi – już się przekonały.

Kompromis – na jak długo?

Otrzeźwienie nastąpiło w ostatnich miesiącach. Po obu stronach. Władze i mieszkańcy Grenlandii potrzebują ochrony i inwestycji, których nie zapewni im ani sama Dania, ani nawet stojąca za nią Unia Europejska. Duńczycy (wraz z kluczowymi sojusznikami europejskimi) z kolei coraz bardziej rozumieją, że w obliczu wyzwań dotyczących Grenlandii – i całej Arktyki – kooperacja z USA jest nie tylko celowa, lecz wręcz niezbędna. Podobnie zresztą jak w obliczu problemu agresywnej Rosji.

Dlatego wojownicze wypowiedzi po obu stronach Atlantyku stawały się stopniowo coraz rzadsze, a w zaciszu gabinetów trwały negocjacje pragmatycznych dyplomatów. Konsekwencje poznaliśmy wstępnie kilkanaście dni temu, a ostatecznie w miniony wtorek. Niezależnie od przeróżnych propagandowych fajerwerków treść podpisanego porozumienia (które formalnie zastępuje umowę z 1951 r.) okazała się bardzo ostrożna i niewiele zmieniająca w realnym układzie sił. Obiecuje korzyści mieszkańcom wyspy, zapewnia podtrzymanie duńskiej suwerenności, Amerykanom daje zaś „stałą kontrolę nad bezpieczeństwem" i pewność, że żaden przeciwnik USA, a nawet kraj spoza kręgu sojuszników nie może być na Grenlandii obecny wojskowo bez pisemnej, wyraźnej zgody Waszyngtonu. To samo dotyczy cywilnych inwestycji w obszarach uznanych za wrażliwe.

Na poziomie konkretów oznacza to, że obok jedynej ostatnio amerykańskiej bazy Pituffik (w której stacjonuje około 150 żołnierzy, ale ma zostać rozbudowana) pojawią się (a właściwie zostaną reaktywowane) jeszcze dwie – w Narsarsuaq i Mestersvig. Stany Zjednoczone mogą też utworzyć na Grenlandii system obrony „Złota kopuła" (jako tarczę przed zagrożeniami ze strony pocisków balistycznych) oraz poszerzać system o kolejne bazy na mocy następnych porozumień. Samoloty i jednostki pływające USA mają prawo swobodnego ruchu, także w odniesieniu do wód terytorialnych Grenlandii. Porozumienie jest bezterminowe, a jego ewentualne zmiany wymagają zgody wszystkich trzech sygnatariuszy.

Umowa „ma formę, w której odpowiedzialność za bezpieczeństwo w Arktyce nie będzie spoczywać wyłącznie na Danii czy Ameryce" – powiedział w jednej z duńskich stacji TV minister spraw zagranicznych Lars Løkke Rasmussen, dodając, że w dużej mierze „to NATO będzie teraz dbać o Arktykę". „Wygląda na to, że wykorzystujemy teraz ten kryzys, aby spróbować wzmocnić spójność NATO za pośrednictwem Grenlandii" – komentował Ulrik Pram Gad, badacz z Duńskiego Instytutu Studiów Międzynarodowych (DIIS). Odbudowa zaufania oczywiście musi potrwać, ale pozostaje faktem, że strategiczna solidarność Zachodu okazała się jednak wciąż żywa, a to zdecydowanie dobra wiadomość.

Są jednak i gorsze. Po pierwsze, przed nami procedury ratyfikacyjne w parlamentach Danii i Grenlandii. Układ sił w obydwu co prawda wygląda na dość bezpieczny dla umowy w znanym już kształcie, ale warto dmuchać na zimne, zwłaszcza że agenturalne zasoby chińskie i rosyjskie zapewne zostały już uruchomione, by proces storpedować lub przynajmniej utrudnić. Po drugie, odwilż po stronie amerykańskiej jest zapewne tylko chwilowa, związana z rozlicznymi kłopotami administracji Trumpa na innych azymutach, a także z kalkulacjami przedwyborczymi. Nie można wykluczyć, że gdy sytuacja się zmieni, problem grenlandzki znów zostanie odpalony, a obecna umowa będzie podważana. I wreszcie po trzecie, potencjalne ryzyko wiąże się też z negatywnymi procesami w Danii. Można sobie wyobrazić, że jej władze, oddaliwszy perspektywy ciężkiego kryzysu, spoczną na laurach. Tymczasem brak nowej, bardziej ofensywnej polityki wobec Grenlandii – reform pozwalających jej budować własną, dynamiczniejszą gospodarkę, a także stosownych wydatków na bezpieczeństwo – dosyć szybko stworzy dogodną przestrzeń dla wrogich oddziaływań ze strony wrogów Zachodu. Oczywiście nie o charakterze militarnym, ale np. w postaci dywersji informacyjnej i politycznej. A wtedy cała misterna konstrukcja trójstronnego porozumienia może wziąć w łeb. Grenlandia jest warta dużych inwestycji także dla naszych przeciwników – warto o tym pamiętać. ©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold
Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk fundacji Po.Int, publicysta DGP

Kanada w uścisku partnera handlowego



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Artur Klimek

Relacje Kanady i USA stają się coraz trudniejsze, a bariery handlowe wznoszą się coraz wyżej. Ottawa od początku podkreślała, że nie chce konfrontacji, ale jeśli zostanie zaatakowana, odpowie stanowczo. Zaczęło się od dyskusji o handlu, jednak spór szybko rozlał się na kwestie polityczne. Administracja USA odnosi się do Kanady, jakby była mało znaczącym terytorium. A przecież to drugie największe państwo świata z granicą lądową ze Stanami Zjednoczonymi o długości ok. 9 tys. km, najdłuższą linią brzegową (ok. 243 tys. km) i – co ostatnio najważniejsze – silną dumą narodową.

Nacjonalistycznie nacechowane pomysły pojawiały się po obu stronach granicy od dawna. W USA chodziło o pokaz siły i gniew na wykorzystywanie ich przez inne kraje. W Kanadzie – o podkreślenie swojej suwerenności i osłabienie uzależnienia od południowego sąsiada. „America First" było pierwsze, ale przebiło się bardziej niż „Canada First". Po odświeżeniu amerykańskiej wersji hasła przez Donalda Trumpa również w Kanadzie odżyły resentymenty.

Zawiła historia

W przeszłości zdarzały się groźne incydenty między Kanadą a USA, np. zdobycie przez Amerykanów Yorku, czyli dzisiejszego Toronto w 1813 r. Jednak po II wojnie światowej interesy obu państw się zbliżyły. W 1948 r. Kanada porozumiała się ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie wzajemnych gwarancji bezpieczeństwa, co należy interpretować jako schronienie się pod amerykańskim parasolem wojskowym. Była też jednym z krajów założycieli NATO. Z czasem z Ottawy zaczęły jednak płynąć niejednoznaczne sygnały dotyczące zaangażowania we wspólny wysiłek obronny pod amerykańskim przywództwem.

W drugiej połowie XX w. można wskazać na dwa kanadyjskie podejścia do południowego sąsiada: dystansowanie się albo zbliżenie. Wiązały się one z ideologią rządzącej od lat 60. do początku lat 80. XX w. Liberalnej Partii Kanady. Premier Pierre Elliott Trudeau, lider ugrupowania, realizował strategię powiększania niezależności. Obecna ofensywa dyplomatyczna, handlowa i inwestycyjna kanadyjskich władz przypomina działania z lat 70. ubiegłego stulecia. Kanada zawarła wówczas układy gospodarcze z Japonią i Europejską Wspólnotą Gospodarczą. Były to czasy poszukiwania porozumienia z Chinami i Związkiem Radzieckim, co nie było dobrze odbierane w Waszyngtonie. Stosunki z sąsiadem pozostawały chłodne.

Starania na rzecz wzmocnienia pozycji Kanady w relacjach z południowym sąsiadem miały też wymiar biznesowy. Ustanowiono Foreign Investment Review Agency, której głównym celem była analiza inwestycji napływających z USA. Ottawa obawiała się wpływów amerykańskiego kapitału. Chciała sobie zapewnić kontrolę nad ważnymi gałęziami przemysłu, a jednocześnie zminimalizować ryzyko nagłej ucieczki kapitału. W tym celu utworzono m.in. narodowego czempiona petrochemicznego Petro-Canada.

Już w latach 60. XX w. z USA docierały niepokojące sygnały. Najpierw wprowadzono tam regulacje zniechęca-

eprasa.pl 25c31a5032

jące amerykańskie firmy do inwestycji zagranicznych i zachęcające do repatriacji dolarów, co spowodowało odpływ kapitału z Kanady. Następnie w obliczu kryzysu gospodarczego prezydent Richard Nixon sięgnął po protekcjonistyczne środki. W 1971 r. nałożył 10-procentowe cła na importowane produkty, co postawiło pod znakiem zapytania relacje handlowe z sąsiadem z północy.

W 1984 r. premierem Kanady został konserwatysta Brian Mulroney, który odbudował przyjazne stosunki z USA. Mówiono wręcz o „superrelacjach" między sąsiadami. Nie wszyscy Kanadyjczycy byli zadowoleni ze służalczej retoryki wobec Ameryki. Niewątpliwym sukcesem było jednak zawarcie w 1988 r. porozumienia o wolnym handlu.

Zbliżeniu sprzyjały też czynniki globalne. To był czas liberałów i liberalizacji, Reagana i Thatcher. Rząd sprywatyzował kluczowe firmy, takie jak Petro-Canada czy Air Canada. W kolejnych dekadach stosunki były przyjazne. Aż do 2017 r., kiedy rozpoczęła się pierwsza kadencja Donalda Trumpa, który zażądał renegocjacji umowy o wolnym handlu między USA, Kanadą i Meksykiem. Udało się zawrzeć nowe porozumienie, ale to tylko na chwilę uśpiło konflikt handlowy.

Łokcie do góry

Próby ustanowienia w sierpniu nowych warunków współpracy handlowej między Ottawą a Waszyngtonem zakończyły się niepowodzeniem. Na ostatniej prostej negocjacji porozumienie trafiło do kosza ze względu na różnice zdań dotyczące kilku kategorii produktów (stali, aluminium i samochodów). Amerykanie rzekomo zażądali, aby Kanada uzgadniała z nimi układy handlowe i polityczne z innymi państwami. Sąsiad oczywiście odmówił, w efekcie czego administracja nałożyła cła na wiele kanadyjskich produktów. Ottawa wkrótce odpowiedziała proporcjonalnymi środkami.

Im bardziej Trump naciska na sąsiada, tym mniejsze pole manewru zostawia Markowi Carneyowi, który doszedł do władzy na fali antyamerykańskiego resentymentu. Pozycja polityczna premiera Kanady jest słabsza niż pozycja prezydenta USA. Carney musi szukać większości, Trump ma dość szerokie prerogatywy wykonawcze. Kanadyjskie prowincje mają silniejszy głos niż amerykańskie stany. W zasobnej w ropę naftową Albercie toczy się dyskusja o rozszerzeniu autonomii, a może nawet zbliżeniu z USA. Francuskojęzyczny Quebec od lat podkreśla swoją niezależność. Nawet zmiana nazwy Jeziora Ontario na Jezioro Ameryka ma polityczny kontekst. Prezydent Trump stwierdził, że nie zamierza robić interesów z prowincją Ontario, więc może nazwać jezioro po swojemu.

Ponieważ Kanada to duży kraj, łatwiej zorganizować logistykę przez południową granicę niż między oddalonymi od siebie na linii wschód–zachód prowincjami. Zwarcie z sąsiadem z północy jest również inaczej odczuwalne w poszczególnych stanach. Firmy z Maine, Michigan czy Dakoty Północnej cierpią bardziej z powodu powiązań produkcyjnych z Kanadą.

Wymuszona dywersyfikacja

Kanada to z jednej strony idee ochrony środowiska, a z drugiej – duże wydobycie ropy naftowej. Ottawa musi często balansować między interesami a ideałami, między zależnością od potężniejszego sąsiada a suwerennością.

Rząd ciągle szuka sposobów na złagodzenie skutków amerykańskiej polityki. Podjął wręcz ofensywę gospodarczą. Władze przekonują inwestorów, że są atrakcyjną lokalizacją dla biznesu nawet w świetle ryzyka związanego z działaniami południowego sąsiada. W połowie września w Toronto zorganizowano duże spotkanie dla inwestorów, na którym padły propozycje konkretnych ułatwień podatkowych, np. pełnej amortyzacji środków przy ich oddaniu do użytkowania. Pojawiły się też plany prywatyzacji czterech największych lotnisk. Liczono na 1 bln dol. nowych inwestycji, choć wstępne deklaracje firm są bliższe połowie tej kwoty.

Kanada ma duże zasoby węglowodorów, które eksportuje głównie do Stanów Zjednoczonych. Chciałaby więc przyciągnąć do siebie projekty budowy centrów danych dostępnością energii. Jest to dość racjonalne podejście – zamiast eksportować ropę, można zarabiać na sztucznej inteligencji. Rzecz w tym, że to amerykańskie firmy są największymi operatorami centrów danych i właścicielami najbardziej zaawansowanych modeli AI. Inwestycje w Kanadzie mogłyby się stać kolejnym punktem zapalnym w relacjach z Białym Domem.

Drugim frontem jest współpraca z Europą. Mówi się nawet o przystąpieniu Kanady do Unii Europejskiej. Jeśli sytuacja tego wymaga, trzeba szukać kreatywnych rozwiązań, a obie strony muszą wykazać się daleko idącą elastycznością. Ottawa już we wcześniejszych kryzysach w relacjach z USA budowała sojusze z Europą. Nie zawsze efekty były zgodne z oczekiwaniami. Porozumienie o wolnym handlu między Kanadą a UE weszło tymczasowo w życie w 2017 r., ale wciąż czeka na pełną ratyfikację. Nie ma co liczyć na przychylność Waszyngtonu wobec prób transatlantyckiego zbliżenia.

Choć współpraca na kontynencie północnoamerykańskim układała się różnie, to jednak cechowała się względną stabilnością i przewidywalnością. Przynosiło to korzyści Kanadzie, lecz zwiększało jej zależność od potężniejszego sąsiada. W dobrych czasach niewielu myśli o dywersyfikacji czy szukaniu planu B. To nieopłacalne. Lepiej korzystać z dogodnych warunków, niż szukać alternatywy, która mogłaby pogorszyć stosunki z hegemonem. Obecna sytuacja Ottawy jest trudna, co wynika z narastającego przez wiele lat uzależnienia od USA. Zerwanie więzów jest kosztowne, a relacji z innymi partnerami nie buduje się w ciągu kilku dni. Jednak w dłuższym okresie może to się przyczynić do zrównoważenia kanadyjskiej gospodarki. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Cyfryzacja zaczyna się od dobrych danych

Firmy inwestują w systemy ERP, automatyzację i kolejne narzędzia cyfrowe, ale sama technologia nie rozwiąże problemów organizacyjnych. O tym, dlaczego cyfryzację warto zaczynać od uporządkowania procesów i danych, jak integrować różne systemy oraz czego przedsiębiorstwa oczekują dziś od partnerów technologicznych, rozmawiamy z Gabrielem Gabzdylem, prezesem ELTE-S.



Najpierw trzeba uporządkować procesy

W wielu przedsiębiorstwach dane są rozproszone między dokumentami papierowymi, Excelem i kilkoma niezależnymi systemami. Problem narasta wraz ze skalą działalności. Przy kilku tysiącach zamówień dziennie coraz większego znaczenia nabierają automatyzacja oraz sprawna wymiana danych między sprzedażą, magazynem, logistyką i księgowością. Im więcej procesów i informacji, tym ważniejsze stają się ich uporządkowanie oraz szybki dostęp do aktualnych danych. Dlatego przed wdrożeniem systemu warto najpierw przeanalizować, jak firma faktycznie działa. „Samo wdrożenie ERP nie usunie chaosu w firmie. Bez uporządkowania dokumentów i procesów jedynie przeniesiemy go do systemu, zamiast usprawnić pracę"– mówi Gabriel Gabzdyl. Jak podkreśla, podstawą cyfryzacji są usystematyzowane dane. Nie zawsze konieczna jest przy tym wymiana działających narzędzi. Często ważniejsza okazuje się ich integracja, dzięki której systemy mogą wymieniać informacje, a zarządzający mają dostęp do wiarygodnych danych. To pozwala ograniczyć ręczną pracę, zmniejszyć liczbę błędów i lepiej kontrolować przebieg procesów.

Technologia ma wspierać rozwój biznesu

Zmieniają się również oczekiwania wobec dostawców technologii. Samo uruchomienie systemu nie jest już wystarczającą wartością. Firmy potrzebują rozwiązań, które będą skalować się wraz z ich działalnością, zapewnią ciągłość działania i pozwolą rozwijać kolejne procesy. Technologia powinna być więc dopasowana do sposobu działania organizacji, a nie odwrotnie. Dopiero na fundamencie uporządkowanych danych można skutecznie rozwijać automatyzację czy wykorzystywać sztuczną inteligencję. Jak wskazuje Gabriel Gabzdyl, technologia powinna zdejmować z pracowników powtarzalne zadania, ułatwiać dostęp do informacji i pozwalać im skupić się na działaniach istotnych dla biznesu. Klient oczekuje więc nie tylko wdrożenia systemu, lecz także partnera, który rozumie jego potrzeby, zapewnia ciągłość działania i potrafi przełożyć możliwości technologii na konkretne efekty biznesowe.

Aneta Żych

https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/

ELTE-S

eprasa.pl 25c31a5032

Przydziały na wodę

Jezioro Mead zaopatruje w wodę ok. 23 mln mieszkańców siedmiu stanów i nawadnia uprawy o powierzchni ponad 1 mln ha. A teraz wysycha

Emilia
Świętochowska

Pod koniec lata wodowskazy na jeziorze Mead, największym sztucznym zbiorniku w Stanach Zjednoczonych, odnotowały historyczny spadek. W połowie września stan wód sięgnął tam 316,5 m n.p.m. – o ponad m mniej, niż wyniósł poprzedni rekordowo niski poziom z czerwca 2022 r.

Prognozy sugerują, że na koniec roku sytuacja będzie jeszcze gorsza: według federalnych służb hydrologicznych poziom wód ma spaść do 315 m n.p.m. Zbiornik po raz ostatni był wypełniony po brzegi w lipcu 1983 r., kiedy przez region przeszła potężna powódź. Woda spiętrzyła się tak obficie, że jej powierzchnia podniosła się na wysokość prawie 372 m. Obecnie rezerwuar jest wypełniony zaledwie w 26 proc.

Osobliwe cmentarzysko

Położone na rzece Kolorado jezioro Mead zaopatruje w wodę ok. 23 mln mieszkańców siedmiu stanów (Arizony, Kalifornii, Nevady, Nowego Meksyku, Kolorado, Utah i Wyoming) oraz nawadnia uprawy o powierzchni ponad 1 mln ha. To także popularne miejsce wypoczynkowe, które w 1964 r. jako pierwsze w Ameryce uzyskało status terenu rekreacyjnego objętego ochroną federalną. Mimo skwaru przekraczającego często 40 st. C głęboko błękitne wody i surowe górskie pejzaże przyciągają rocznie 6 mln miłośników żeglowania, wędrówek, wędkowania i biwakowania.

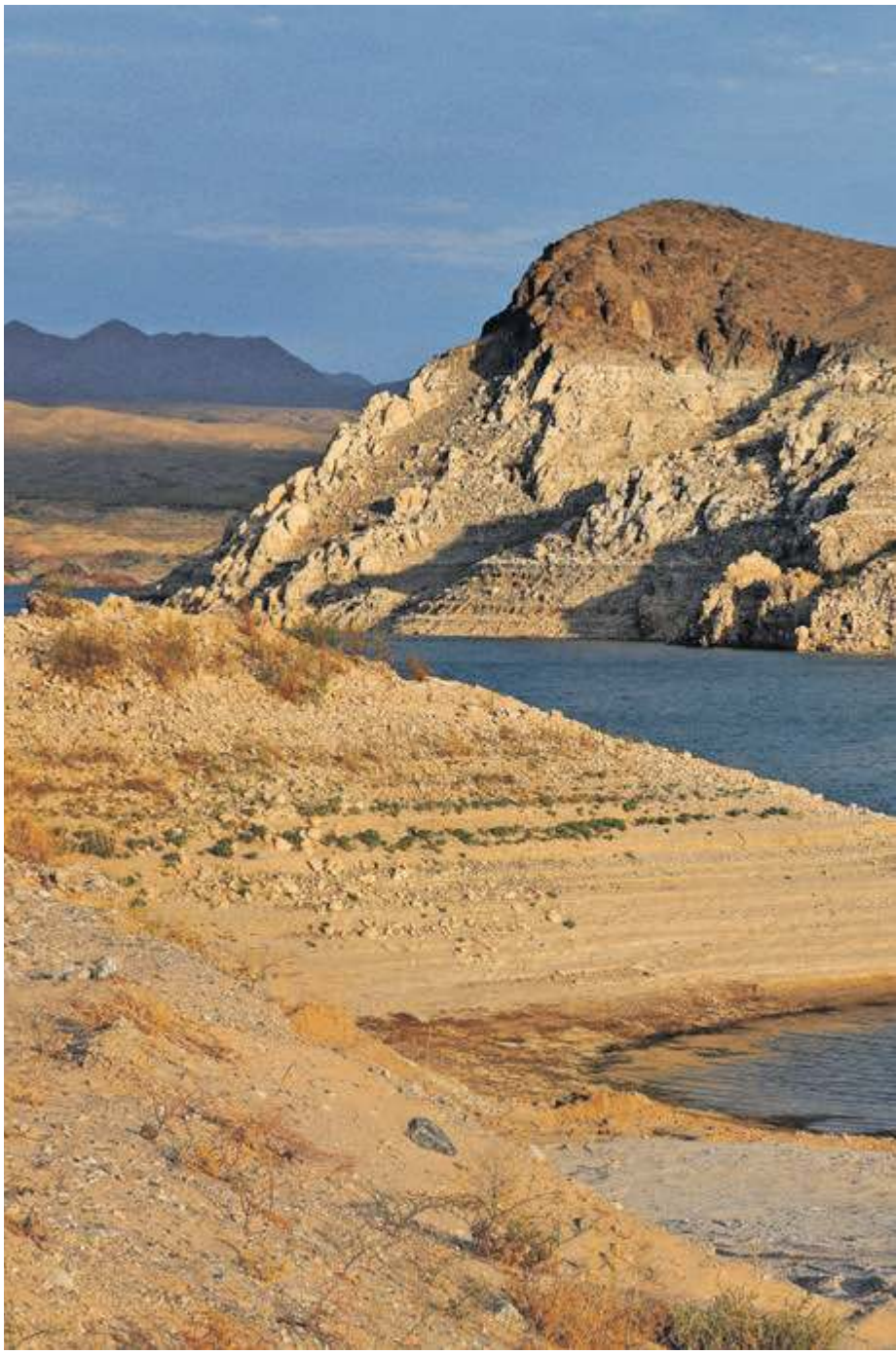
Gwałtownie cofająca się linia brzegowa jeziora odsłoniła rumowisko osobliwych pozostałości. W maju 2022 r. niedaleko plaży jeden z turystów natknął się na blaszaną beczkę z wyżartymi przez rdzę dziurami, dostrzegając w środku tenisówki, srebrny zegarek i owinięte dżinsem ludzkie kości. Policji udało się ustalić, że były to szczątki mężczyzny zastrzelonego w latach 70. lub 80., choć tożsamość ofiary pozostaje nieznana. Odkrycie dostarczyło pożywki miłośnikom true crime, którzy zaczęli podsycać teorię, że za zabójstwem stała przez dekady trzęsąca Las Vegas mafia. Kiedy lokalne służby odkryły fragmenty zwłok kolejnych osób, spekulacje tylko przybrały na sile. Na razie nie zgromadzono jednak dowodów potwierdzających, że jezioro służyło za cmentarzysko ofiar gangsterskich porachunków.

Spod ustępującej wody wynurzyły się też ruiny miasteczka St. Thomas, niewielkiej mormońskiej osady zalanej podczas budowy zapory Hoovera. Kolejne znaleziska to zatopione jachty i łodzie mieszkalne czy relikty II wojny światowej, takie jak wrak barki desantowej.

Klimatyczne anomalie

Jezioro Mead utworzono w 1935 r. przez przegrodzenie biegu rzeki Kolorado zaporą Hoovera ukończoną za prezydentury Franklina D. Roosevelta. Potężna konstrukcja, na którą użyto tyle betonu, ile potrzeba do zbudowania dwupasmówki z Seattle do Miami (5,3 tys. km), zapoczątkowała erę wielkich przedsięwzięć infrastrukturalnych realizowanych przez rząd federalny. „Na samej rzece Kolorado powstało jeszcze siedem zapór, które tak skutecznie ograniczyły jej przepływ, że niegdyś potężny nurt uchodzący do Zatoki Kalifornijskiej został zredukowany do słonawego strumienia wód odpływowych z meksykańskich pól" – pisze w książce „Colossus: Hoover Dam and the Making of the American Century" Michael Hiltzik.

Zapora Hoovera była jednocześnie przejawem rosnących wpływów Zachodu USA w Waszyngtonie. „Dostarczana przez nią woda i energia pomogły Kalifornii wyrosnąć na najsilniejszy politycznie stan w kraju, napędziły rozwój odizolowanych wcześniej miast Południowego Zachodu, zamieniając je w tętniące życiem metropolie Pasa Słońca, które do dziś odbierają miastom Wschodniego Wybrzeża pieniądze, ludność i talenty, a z całego regionu uczyniły kolebkę nowych gałęzi przemysłu" – podkreśla Hiltzik.



Jezioro Mead kurczy się od ponad ćwierćwiecza na skutek nadmiernego zużycia wody oraz napędzających pogodowe anomalie zmian klimatu. W równie szybkim tempie maleją zasoby jeziora Powell, drugiego pod względem wielkości sztucznego zbiornika w Ameryce, zlokalizowanego w górnym odcinku dorzecza Kolorado. Rezerwuar ten jest dziś wypełniony jedynie w 22 proc. Poziom wody spadł tak nisko, że właściciele przystani musieli pozamykać lub poprzenosić rampy dla łodzi. „Jeziora Mead i Powell to w gruncie rzeczy rachunki oszczędnościowe całego regionu, które od lat osuszamy ze środków" – podsumowała w rozmowie z CNN Kathryn Sorensen, dyrektorka Kyl Center for Water Policy na Arizona State University.

W normalnych latach rzeka Kolorado i jej jeziora są zasilane wiosennymi roztopami śniegu w Górach Skalistych. Ostatnia zima nie tylko była najcieplejszą w historii pomiarów (średnia temperatura sięgnęła 4,5 st. C), lecz także przyniosła wyjątkowo małe opady śniegu. Na domiar złego w marcu południowo-zachodnie stany nawiedziła fala upałów, która przyspieszyła zanikanie pokrywy śnieżnej. Na to wszystko nakłada się trwająca od 26 lat megasusza. Choć uporczywy deficyt opadów nie jest w tym regionie fenomenem, to ocieplenie klimatu powoduje, że kryzys wodny staje się coraz ostrzejszy. Skutek jest taki, że od początku XX w. przepływy wody w rzece Kolorado zmniejszyły się o jedną piątą, a według prognoz naukowców do 2050 r. mogą zmaleć o prawie jedną trzecią.

Niedostatek wody odczuwają w szczególności kluczowe rejony rolnicze, określane mianem „zimowej misy sałatkowej Ameryki": hrabstwo Yuma w Arizonie oraz są-

W trudnej sytuacji znajdzie się Las Vegas, które czerpie z rzeki Kolorado 90 proc. wody. Lokalne władze już 20 lat temu zabroniły siania trawy przed domami na nowych osiedlach

eprasa.pl 25c31a5032



FOT. CAROLINE BREHMAN/REUTERS/FORUM

Jezioro Mead.
21 lipca 2026 r.

siadująca z nią Imperial Valley w południowej Kalifornii. Mimo suchej, pustynnej aury sałata i brokuły rosną tam lepiej niż w innych częściach kraju dzięki żyznej glebie, intensywnemu nawadnianiu oraz publicznym inwestycjom w sieci kanałów, zbiorniki i urządzenia hydrotechniczne. Szacuje się, że farmy w Yumie i Imperial Valley dostarczają nawet 90 proc. zielonych warzyw spożywanych zimą w Stanach Zjednoczonych. Gdy cztery lata temu po raz pierwszy ogłoszono deficyt wody na dolnym odcinku Kolorado, dla całego południowego zachodu USA był to sygnał alarmowy. Niektóre gospodarstwa w Arizonie zostały całkowicie odcięte od dostaw z rzeki Kolorado, co pociągnęło za sobą konieczność zmniejszenia powierzchni upraw albo przestawienia się z wodochłonnych roślin, takich jak lucerna i kukurydza, na mniej wymagający jęczmień. Rolnicy z Imperial Valley dostali z kolei rekompensaty w zamian za czasowe zaprzestanie nawadniania pól. Restrykcje dotknęły również aglomeracje południowej Kalifornii – np. mieszkańcy Los Angeles mogli podlewać trawniki i ogrody jedynie dwa razy w tygodniu przez osiem minut.

Pożeracze wody

Stany i rdzenne plemiona uzależnione od rzeki Kolorado od kilku lat nie mogą dojść do porozumienia w sprawie podziału kurczących się zasobów wody. Kolejne rundy negocjacji mających doprowadzić do wypracowania długoterminowego rozwiązania utykają w martwym punkcie z powodu sporu o to, kto winien wprowadzić największe oszczędności. Główna oś konfliktu przebiega między dolnym dorzeczem (Arizoną, Kalifornią i Nevadą) a górnym (Kolorado, Nowym Meksykiem, Utah i Wyoming). W dużej mierze jest on pokłosiem zawiłego i przestarzałego systemu zasad korzystania z zasobów wodnych.

Jego najważniejszym elementem jest Colorado River Compact z 1922 r., która przyznała wszystkim stanom równe przydziały. Problem w tym, że kiedy zawierano tę umowę, przepływy wody były znacznie obfitsze, a na Południowym Zachodzie żyło kilkadziesiąt razy mniej osób niż obecnie. Dolne dorzecze, obejmujące największe aglomeracje, rozległe farmy i centra danych, zużywa dziś znacznie więcej wody niż słabiej zaludnione i bardziej górzyste stany górnego dorzecza (odpowiednio 7,52 mld m sześc. i 5,67 mld m sześc.).

Sytuację komplikuje to, że zgodnie z zasadami najstarsze uprawnienia do korzystania z rzeki mają priorytet. Tymczasem wiele z nich pochodzi jeszcze z lat 50. i 60. XIX w., kiedy osadnicy zapuszczający korzenie na terytoriach zachodnich budowali kanały irygacyjne, a zwabieni gorączką złota awanturnicy wykopywali rowy i koryta, którymi doprowadzali wodę do miejsc wydobycia. W praktyce może to prowadzić do paradoksalnych sytuacji, które dobrze obrazuje przypadek Imperial Valley: śledztwo portalu ProPublica wykazało, że 20 farmerskich rodów, które uzyskały uprawnienia do korzystania z rzeki na początku XX w., kontroluje jedną czwartą przepływu – to z grubsza tyle wody, ile przypada na całą Arizonę. Najliczniejszy z nich, klan Abbatich, zużywa więcej niż licząca 2,4 mln mieszkańców aglomeracja Las Vegas.

Stany górnego dorzecza sprzeciwiają się sztywnym ograniczeniom, tłumacząc, że długotrwała susza i malejąca pokrywa śnieżna w górach już i tak wymuszają na nich spore oszczędności. Arizona, Kalifornia i Nevada zgodziły się znacząco obciąć swoje pule, a sąsiadom zarzuciły niesolidarność. „Wszystkie siedem stanów dorzecza musi wziąć na siebie część odpowiedzialności" – apelowały. Po fiasku negocjacji do gry weszła administracja Donalda Trumpa. W lipcu kierowany przez Douga Burguma Departament Spraw Wewnętrznych zaprezentował 10-letni plan przewidujący drakońskie cięcia przydziałów dla stanów dolnego dorzecza. Gdyby pomysł wszedł w życie, rocznie straciłyby one 3,7 mld m sześc. wody – mniej więcej tyle, ile zużywa 9 mln amerykańskich rodzin. Ich sąsiedzi z górnego dorzecza nie musieliby oddać ani kropli. Demokratyczna gubernatorka Arizony Katie Hobbs określiła te propozycje jako „niesprawiedliwe", zwracając uwagę, że jej stan dostarcza Ameryce „żywność, strategiczne surowce, systemy uzbrojenia i najbardziej zaawansowane półprzewodniki". „Żaden inny stan w dorzeczu Kolorado nie może się pochwalić tym samym" – dodała.

Zaangażowanie rządu spowodowało, że sprawa nabrała politycznego wymiaru. Gubernator liberalnej Kalifornii Gavin Newsom jest jednym z najgłośniejszych krytyków Trumpa. Nie jest tajemnicą, że za jego szarżami przeciwko operacji deportacyjnej i wojnom handlowym kryje się długofalowy cel: zdobycie nominacji Partii Demokratycznej na prezydenta. Gospodarz Białego Domu nie pozostaje mu dłużny – oskarżał go o ukrywanie nielegalnych imigrantów, doprowadzenie do ogromnych pożarów nieudolnym zarządzaniem lasami, a także o to, że bardziej dba o zapewnienie świeżej wody zagrożonym gatunkom ryb niż mieszkańcom.

Ostatecznie administracja nieco okroiła swój plan i nakazała trzem stanom w ciągu dwóch najbliższych lat obniżyć pobór wody z Kolorado łącznie o 20 proc. Zastrzegła też, że jeśli stan rzeki się nie poprawi, narzuci im jeszcze surowsze obostrzenia. Tak jak przewidywało wielu ekspertów, konflikt szybko przeniósł się na salę sądową. Jako pierwsza pozew złożyła Nevada, której republikański gubernator Joe Lombardo przekonywał, że administracja próbuje się uporać z niedoborem wody kosztem dolnego dorzecza. „Rozwiązanie musi uwzględniać wszystkich" – podkreślił.

Pożegnanie z trawnikiem

W trudnej sytuacji znajdzie się m.in. Las Vegas, które czerpie z rzeki Kolorado 90 proc. wody. Słynąca z przesady i ostentacji metropolia na pustyni Mojave, nazywana Sin City, od dawna uwzględnia wpływ zmian klimatu na gospodarkę komunalną. Lokalne władze już 20 lat temu zabroniły siania trawy przed domami na nowych osiedlach. Dziś skwery bujnej zieleni powoli znikają z obsadzonych hotelami i kasynami bulwarów – od 2027 r. zacznie obowiązywać całkowity zakaz podlewania ozdobnych trawników na ulicach. W wielu miejscach zastępują je nawadniane kropelkowo drzewa i rośliny, które potrzebują mniej niż jednej czwartej wody zużywanej wcześniej.

Mieszkańcy, którzy jeszcze cieszą się trawnikami, muszą przestrzegać rygorystycznych zasad podlewania. Krążące po ulicach patrole mogą wymierzyć im grzywnę za szaleństwa ze zraszaczami. Miasto, w którym roczna suma opadów ledwo przekracza 10 mm, przoduje też w recyklingu – 99 proc. szarej wody z pryszniców, toalet, pralek i zlewów po oczyszczeniu trafia z powrotem do obiegu. „W ostatnich dekadach Las Vegas wyrosło na potęgę w oszczędzaniu wody" – mówił „Los Angeles Timesowi" Brian Richter, hydrolog i szef organizacji Sustainable Waters. W minionym ćwierćwieczu Sin City zredukowało zużycie wody o ok. 40 proc.

Pojawiają się również nieszablonowe pomysły na walkę z niedoborami. Władze południowej Nevady planują zainwestować w zwiększenie produkcji odsalanej wody w kalifornijskim San Diego. Metropolia na wybrzeżu Pacyfiku do niedawna sama borykała się z poważnym deficytem, ale dzięki programom ograniczania zużycia i dużej rozbudowie systemu odsalania ma dziś nadwyżki. W praktyce będzie to rodzaj wymiany: Las Vegas przejmie część puli z rzeki Kolorado przysługującej San Diego, a partner z Kalifornii uzupełni ubytek odsoloną wodą. Rozwiązania przetestowane w Sin City zaczynają teraz naśladować inne miasta Południowego Zachodu. ©℗

eprasa.pl 25c31a5032

Sieć nastoletnich killerów

Werbowanie dzieci do walk było przed laty domeną kilku państw lub kryjących się po dżunglach rebeliantów. Dziś kaptuje się nastolatków do wykonywania misji na rzecz przestępców lub do prowadzenia asymetrycznych wojen



Mariusz

Janik

Wideo nakręcone przez brytyjską policję trwa zaledwie osiem sekund. 18-letni wtedy Norweg Johannes Natland ubrany jedynie w bokserki wychodzi z hotelowego pokoju, najwyraźniej po wezwaniu do otwarcia drzwi. Chwilę później obrzuca nagrywającego akcję policjanta buńczucznym spojrzeniem, taksując go wzrokiem. I nagle unosi ręce, układając je tak, jakby trzymał w nich obrzyna, którego lufę kieruje w stronę kamery. Potem obezwładniają go policjanci.

W pokoju Natlanda znaleziono dwie sztuki broni oraz 19 nabojów. I do ich posiadania przyznał się w sądzie, zaprzeczając jednak, żeby uczestniczył w „zmowie wiodącej do morderstwa". Rzekomo miał zamiar porzucić misję, strzelając sobie w stopę, co miałoby przekonać jego zleceniodawców, że próbował – ale nie wyszło. Przysięgli tej historii nie kupili. Ostatecznie nie zrobiła na nich też wrażenia przeszłość niedoszłego zabójcy – blond cherubina, zdolnego piłkarza, który urwał się spod kontroli rodziców i od 13. roku życia przyjmował coraz to twardsze narkotyki. Który szybko przestał chodzić do szkoły i przekonywał otoczenie, że rodzice chcą go zabić.

Natland opowiadał w sądzie, że w jednym z ośrodków społecznych poznał chłopaka, który w sieci używał nicka „UnknownHustler". I to ten ziom w marcu zeszłego roku podesłał mu lapidarny anons: „Zabójstwo w Anglii, 270 tys. koron (nieco ponad 100 tys. zł – red.). Transport z kraju gotowy. Przemycimy zabójcę z kraju (Anglii – red.). Policja opłacona, by patrzyła w inną stronę. Nic nie może pójść źle". Już następnego dnia Natland miał zarezerwowany bilet na lot do Manchesteru.

Pojawił się w Wielkiej Brytanii 17 marca, a do celu prowadziły go wiadomości wideo przychodzące w aplikacji Signal. Powiodły go one do Huddersfield, gdzie znalazł broń, skradzione auto i zapas gotówki na wydatki. Nie mógł się oprzeć udokumentowaniu przygody – na czat, przez który porozumiewał się ze zleceniodawcami, wrzucał zdjęcia z hotelowego łóżka, z pistoletem w ręku i porozrzucaną po pościeli gotówką.

W tym czasie norweska policja aresztowała w Oslo innego nastolatka, posługującego się w sieci nickiem „General". W jego telefonie znaleziono informacje o planowanym morderstwie na Wyspach; Norwedzy powiadomili Brytyjczyków, ci zaś zatrzymali Natlanda. Wyrok jest spodziewany w październiku. Do dziś nie jest jasne, kto miał być celem zabójcy.

W perskiej sieci

Wkręcony w niedoszłe morderstwo Norweg to zaledwie wierzchołek góry lodowej, noszącej enigmatyczną nazwę Foxtrot Network. Na jej czele stoi najprawdopodobniej 40-letni Rawa Madżid, przestępca o tyleż barwnej, ile skomplikowanej biografii. Jego rodzice byli irackimi Kurdami, którzy w latach 80. – w czasie wojny iracko-irańskiej – uciekli z rodzinnych stron. Ich celem była Szwecja, ale droga tam wiodła przez Iran, gdzie urodził się Madżid. Nie odnalazł się on w szwedzkiej Uppsali, gdzie osiedli rodzice – zamiast tego w młodzieńczych latach wsiąkł w miejscowy półświatek, w którym zrobił spektakularną karierę. I dziś należy do czołówki przestępców poszukiwanych przez szwedzką policję.

Ale zanim to nastąpiło, jego kariera zakreśliła niezwykłą trajektorię. Osiem lat temu opuścił Szwecję – wyglądało na to, że po wyjściu z więzienia stał się celem konkurencyjnych grup, a na pieńku miał z potężnym gangiem Vårby, Grekami z Dalen i motocyklistami z Bandidos. Osiadł w Turcji, korzystając ze „złotej wizy", programu dającego obywatelstwo w zamian za inwestycje. Stamtąd zaczął zapewne zarządzać grupą przestępczą zajmującą się przemytem narkotyków i zabójstwami na zlecenie, która w 2022 r. przerodziła się w Foxtrot Network. Jeszcze w tym samym roku zniknął z Turcji. Wyjechał, prawdopodobnie używając fałszywego włoskiego paszportu i – jak się powszechnie dziś przypuszcza – wylądował w Iranie. I wtedy jego współpraca ze służbami reżimu – choć nie wiadomo, kto jest konkretnym zleceniodawcą Foxtrota w Teheranie – rozkwitła.

Jak podaje BBC, od 2022 r. Foxtrot Network miał zaaranżować 35 morderstw w państwach europejskich (Belgia, Dania, Finlandia, Francja, Hiszpania, Islandia, Niderlandy, Niemcy, Norwegia, Szwecja, Wielka Brytania) oraz wiele ataków lub prób ataków na izraelskie cele w Europie. – Reżim zleca szefowi Foxtrota uruchomienie sieci w celu zaatakowania swoich wrogów. To mogą być dysydenci, dziennikarze, cele izraelskie – wyliczał w rozmowie z BBC Diamant Salihu, dziennikarz śledczy szwedzkiej stacji SVT, który przez trzy ostatnie lata tropił Foxtrot Network.

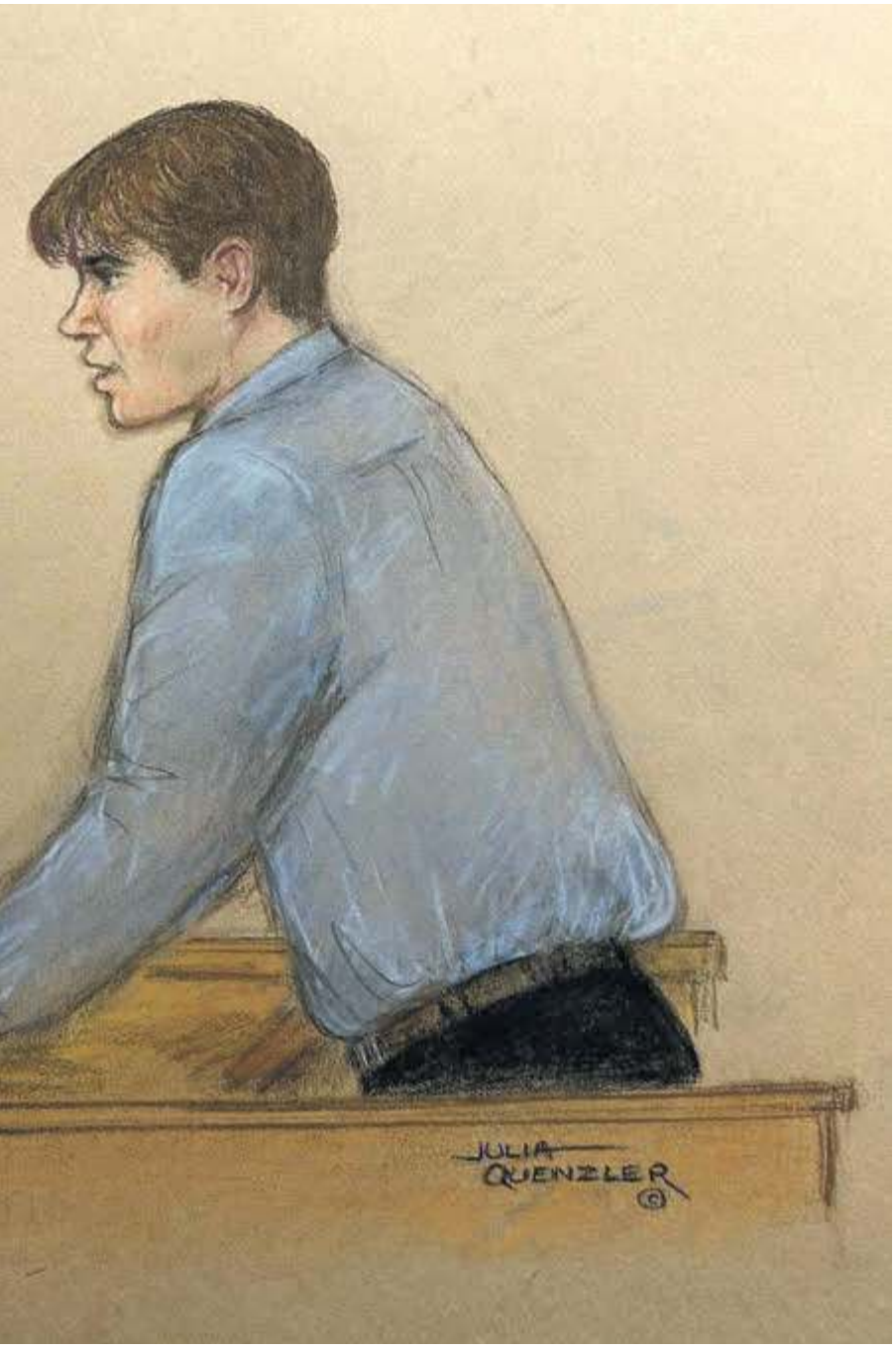
Być może stworzony przez Madżida gang szczyt możliwości ma już za sobą – zarówno specjalna jednostka Interpolu, jak i policje poszczególnych krajów w ciągu kilkunastu ostatnich miesięcy zatrzymały w sumie ok. 280 osób mniej lub bardziej związanych z grupą. Są wśród nich drugoplanowi bohaterowie historii Natlanda. Jak choćby Agent 47 – prawdopodobnie prawa ręka Madżida, Ali Szehad Ahmed – aresztowany w kurdyjskiej części Iraku. Szwedzi zażądali już jego ekstradycji. W Tunezji aresztowany został z kolei były raper Mohamed „Mowgli" Mohdhi, kolejny bliski współpracownik Madżida.

Za kratkami wylądował też „General". Gdy rekrutował Natlanda, sam miał 16 lat – i zaaranżowanie dwóch innych morderstw na koncie: skutecznie najął 17-latka, który dokonał egzekucji członka konkurencyjnego gangu w szwedzkim Lund oraz Attilę Azimowa – 18-latka, który zlecenie sfuszerował, zabijając w Szwecji przypadkowego człowieka (za co dostał dożywocie). „General" przedobrzył – postanowił zaaranżować zabójstwo 14-letniego syna oficera norweskiej policji, do roboty zaangażował dwóch kolejnych nastolatków, z których jeden poinformował o wszystkim mundurowych. Kilka miesięcy temu „General" został skazany na 14 lat więzienia.

Dźwięk mieczy

Śledczy Interpolu podkreślają, że w działalności Foxtrot Network zauważalna jest gamifikacja – rekruterzy korespondują z werbowanymi językiem gier, w logistyce zabójstw są elementy znane z rozmaitych gier (Natland dostawał kolejne polecenia i koordynaty miejsc, w których miał odebrać gotówkę, broń, auto), zaś egzekutorzy uchwyceni w obiektywach monitoringu zachowują się, jakby byli postaciami żywcem wyjętymi z którejś ze strzelanek. „Killerzy" robią sobie selfiki z bronią, afiszują się z pieniędzmi z zaliczek. Ich amatorszczyzna nie ma tu większego znaczenia: obiecane pieniądze wypłacane są po wy-

eprasa.pl 25c31a5032



FOT. JULIA QUENZLER/SWNS/NEWSPIX.PL

Ilustracja z rozprawy sądowej Johannesa Natlanda

konaniu zlecenia, a sami rekruterzy i zleceniodawcy są na tyle anonimowi lub nieosiągalni dla śledczych, że czują się bezpiecznie.

Taka gamifikacja nie jest novum. „W internecie można znaleźć wiele materiałów graficznych przedstawiających rysunki stylizowane na materiały z zachodnich gier w połączeniu z symbolami Państwa Islamskiego. Najczęściej wymieniane są tu gry, jak Call of Duty, Frontline, Counter Strike, Battlefront, Medal of Honor czy Battlefield 3" – pisze socjolog Grzegorz Kubiński w książce „Czarny kolor popkultury. Państwo Islamskie i kultura popularna". „Jedną z bardzo popularnych gier utrzymanych w stylistyce ISIS jest Grand Theft Auto (...). Już w oryginalnym, zachodnim wydaniu gra jest bardzo brutalna i budziła z tego powodu olbrzymie kontrowersje. Po dodaniu elementów kojarzących się z terroryzmem oraz języka arabskiego i arabskiej muzyki gra zatytułowana Grand Theft Auto: Salil al-Sawarem (Dźwięk mieczy) nabrała jednak innego wymiaru. (...) Po dokonanych zmianach gracz bierze udział w walkach z amerykańską policją, strzela do europejskich i zachodnich żołnierzy czy dokonuje zamachów, wznosząc okrzyki «Allahu Akbar!»" – uzupełnia.

Uniwersum gier komputerowych – choć łatwo je połączyć z innymi przypadkami przemocy w wykonaniu młodych ludzi, jak strzelaniny w amerykańskich szkołach czy zamachy przeprowadzone w Norwegii przez Andersa Breivika, który był zapalonym graczem – nie jest jedynym wzorcem kulturowym, poprzez który można kaptować nastolatków do popełniania przemocy. Osobne światy stanowi muzyka – jak rap w wersji gangsta, nie przypadkiem członkiem Foxtrot Network był Mohdhi, a w szeregach Państwa Islamskiego znaleźli się popularni (może nie bardzo, ale jednak) raperzy, Denis Cuspert (Deso Dogg) czy Abdel-Majer Abdel Bary (L Jinny).

Kolejną warstwę symbolicznej otoczki towarzyszącej rekrutacji stanowi iluzja siły. Werbujący często posługują się nickami odwołującymi się do drapieżnych zwierząt, pojęć typu „honor", „walka", „bitwa", „wolność", wizerunków pięści, muskułów, broni, flag. Co zresztą doskonale spaja organizacje takie jak ISIS czy Foxtrot ze środowiskami neonazistowskimi czy ultranacjonalistycznymi. Inną stroną tej samej monety jest tworzenie quasi rodzinnych relacji wewnątrz organizacji przestępczych lub terrorystycznych, mafijne „rodziny" czy „klany" rzadko już odzwierciedlają realne więzy krwi między członkami organizacji, a bardziej narzucają im wymóg zachowania lojalności i dają punkt oparcia.

Rekrutacja odbywa się z pomocą szyfrowanych komunikatorów, co tworzy też odpowiednią atmosferę tajemnicy, bezkarności, wspólnoty. „Przestępcy mogą wysyłać wiadomości, które automatycznie zostaną skasowane po pewnym czasie, usuwać historię konwersacji, ograniczać dostęp do grup tylko do zweryfikowanych członków" – napisali eksperci Europolu w opublikowanej dwa lata temu analizie zjawiska rekrutacji nastolatków w Europie. Kontakty online pozwalają ograniczyć osobiste spotkania do minimum, sprzyjają używaniu ogólników i eufemizmów typu „łatwa kasa", traktowaniu zadań do wykonania jako „wyzwań" i „misji" i wyłuskiwaniu osób z zaburzeniami osobowości czy kłopotami rodzinnymi.

Według Europolu zjawisko najbardziej widoczne jest w „branży" narkotykowej, zwłaszcza w handlu kokainą i marihuaną, a w mniejszym stopniu – heroiną czy substancjami syntetycznymi. „Organizacje przestępcze zatrudniają nieletnich, zwykle w wieku od 13 do 17 lat, w rozmaitych rolach: ulicznych dilerów, kurierów, operatorów magazynów z towarem, osób odbierających towar z kontenerów w miejscach dostaw, uczestników operacji przemytniczych prowadzonych poza tradycyjnymi kanałami przestępczej dystrybucji" – wyliczają eksperci.

W tym ostatnim przypadku udział nieletnich kiedyś był bliski zeru lub zerowy. Dziś zauważa się go nawet w co dziesiątym przypadku takich działań. „Młodzi członkowie gangów bywają przerzucani między regionami czy miastami, co ogranicza ich widoczność dla lokalnych służb ścigania i zmniejsza prawdopodobieństwo aresztowania" – czytamy.

Mali szpiedzy

„Łatwe pieniądze" – taka była kluczowa fraza wiadomości, jaką dostał Ukrainiec Jarosław Suzanskij. 16-latek miał zarobić równowartość 165 dol. za dziwny akt wandalizmu: podpalenie niepozornej blaszanej szafki przy torach (zapewne zawierającej układy sterujące sygnalizacją i innymi urządzeniami kolejowymi w okolicy). Poszło jak z płatka, więc kolejne zlecenie przyszło szybko – tym razem za niespełna 1,5 tys. dol. miał pojechać do Kijowa, odebrać sprzed drzwi hotelowego pokoju dwa plecaki, a potem pojechać z nimi do biblioteki. Co stałoby się dalej, nie wiadomo – ukraiński kontrwywiad aresztował go, zanim dotarł na miejsce.

Jak napisał w tym tygodniu reporter dziennika „The Washington Post", w ukraińskich aresztach i więzieniach siedzi obecnie co najmniej trzynaścioro nieletnich, w tym pięć dziewcząt, najętych do popełniania aktów sabotażu na tyłach ukraińskiej armii. W sumie od początku rosyjskiej agresji na Ukrainę w 2022 r. zatrzymano z takich powodów ok. 300 nastolatków – niektórzy zdołali dowieść, iż nie byli świadomi, w co się pakują; inni warunkowo zostali odesłani do domu; kolejni wciąż czekają na postawienie zarzutów. Suzanskij został skazany na pięć lat więzienia.

Deportacji – z Polski – doczekał się inny bohater tekstu amerykańskiego reportera. 17-letni Ołeksij Babakow znalazł się po rosyjskiej stronie frontu, a po kilku miesiącach rosyjscy opiekunowie wysłali go do Polski – z zadaniem rekrutowania rówieśników do wykonywania dobrze płatnych zadań. Obejmowały one przede wszystkim podkładanie ładunków wybuchowych w okolicach posterunków ukraińskiej policji na zapleczu frontu. – Kiedy detonowałem tę bombę, zrozumiałem, że zrobiłem coś naprawdę złego – opowiadał jeden ze skaptowanych przez Babakowa chłopców. – Kiedy okazało się, że nikomu nie stało się nic złego, ulżyło mi – podkreślał.

Z tych relacji przebija brak refleksji, zrozumienia znaczenia wykonywanych „misji" czy antycypacji konsekwencji swoich czynów. – Oni tego nie robią w celu zniszczenia ukraińskiego państwa. Ani nie robią tego, bo kochają Rosję. Robią, bo mogą dostać 500 dol. i tyle – kwitował ukraiński wiceminister sprawiedliwości Jewhen Pikałow.

Regułę tę można również odnieść do małoletnich Brytyjczyków, których łatwym zarobkiem kusić mają rosyjscy – a może i chińscy – agenci (ostrzeżenia o takim procederze pojawiły się w ubiegłym roku i powtórzono je kilka tygodni temu), czy 18-latka z Ukrainy, który został zatrzymany w Polsce w związku z zarzutami dotyczącymi sabotażu (w sumie 47 czynów), m.in. wandalizmu w miejscach pamięci ofiar rzezi wołyńskiej czy warszawskiego getta. Aresztowany miał też przygotowywać dron, który miałby przelecieć nad autem prezydenta Nawrockiego w trakcie obchodów Święta Wojska Polskiego w sierpniu. Brzmi jak kolejne „wyzwanie"? I zapewne zleceniodawcy tak właśnie to prezentowali.

Oskarżeniami o rekrutowanie nastolatków do misji szpiegowskich i sabotażowych przez Ukrainę szafuje też Rosja, choć trudno znaleźć przykłady takiej działalności. Dwa lata temu alarm ogłaszał chiński kontrwywiad, który poprzez publikacje prasowe przekonywał, że „zagraniczne służby wywiadowcze" namawiają młodych do zdobywania lub ujawniania państwowych tajemnic. W Indiach sporym echem odbiło się aresztowanie influencerki-podróżniczki, która miała rzekomo zostać zwerbowana do współpracy przez pakistańskie służby ISI. I nie był to podobno jedyny taki przypadek – właścicielka agencji turystycznej z Lahaur pracująca dla pakistańskiego wywiadu miała tak aranżować pobyty wielu młodych indyjskich influencerów w Pakistanie, by „podsuwać" ich ISI. A do tej listy można by jeszcze dodać całkiem otwarcie prowadzone przez wywiady – również zachodnie – zabiegi o nawiązanie współpracy ze szczególnie utalentowanymi, zwłaszcza w dziedzinie technologii cyfrowych, małoletnimi. ©℗

eprasa.pl 25c31a5032



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Zawsze dmuchać na zimne

Piotr Skwieciński

Gdyby ktoś miał jeszcze złudzenia dotyczące wpływu rosyjskiej liberalnej opozycji na społeczeństwo, to przebieg niedawnych wyborów do Dumy Państwowej winien tego kogoś tych iluzji ostatecznie pozbawić. Przy czym nie chodzi o sam rezultat wyborów (czy raczej „procedury wyborczej", bo ostatnio władza coraz częściej lubi stosować tę frazę, najwyraźniej czując, że użycie słowa „wybory" wobec tego, co organizowane jest w Rosji, jest nie na miejscu). Od dawna wiadomo, że wynik rządzący mogą wziąć z sufitu. Idzie raczej o to, jak zachowało się przy tej okazji społeczeństwo.

Nie, nie skorzystało z tej możliwości, aby wyrazić entuzjazm wobec polityki Kremla czy wobec wojny. Czy szerzej – zamanifestować to, co w Rosji nazywa się szyderczo „Z-patriotyzmem" (od litery „Z" malowanej na początku inwazji na pancerzach czołgów, która stała się symbolem poparcia dla niej i zrodziła szyderczy czasownik „ziganut'", czyli „zzetować się" – używany wtedy, kiedy komuś zbyt gwałtownie umysł przestawi się na agresywny, imperialny nacjonalizm). W piątym roku konfliktu takich ekscesów w Rosji trzeba szukać z lupą.

Idzie natomiast o całkowitą tego społeczeństwa bierność.

Jeszcze więcej chamstwa

Bierność uderzającą również i dlatego, że w miesiącach poprzedzających wybory popularność rządzących – według wszystkich niezależnych badań – spadała, i to jak na rosyjską skalę znacząco. Przy czym zarówno partii rządzącej, putinowskiej Jednej Rosji, jak i – choć w mniejszym stopniu – samego Władimira Władimirowicza. Jedna Rosja miała latem – i to według badań dokonywanych przez sondażownie działające w kraju, wkomponowane w system władzy – poparcie niewiele przekraczające 30 proc. (oczywiście w Polsce to bardzo dużo, ale w putinowskiej Rosji – bardzo mało).

I nie chodzi o to, że ogłoszono, iż ostatecznie miała ona dostać 57 proc. głosów – a więc zyskać w Dumie większość konstytucyjną. Powtórzmy – władza mogła sobie zażyczyć dowolnego procenta. Chodzi o to, jaką drogą do tego procenta rosyjskie władze doszły. Czyli o to, że w tych wyborach, w porównaniu z poprzednimi, zauważalnie mniej było ordynarnego fałszowania – w sensie dosypywania głosów itd. Oczywiście były takie przypadki, ale rzadziej. Znacznie więcej było za to konstruowania wyników poprzez wymuszanie na wyborcach rzeczywistego, choć niedobrowolnego, oddania głosu na Jedną Rosję.

Przyjmowało to różne formy. Najczęściej angażowano w to miejsca pracy lub nauki. Administracje szkół wyższych i kierownicy wszelkiego szczebla w zakładach pracy stawali się odpowiedzialni za wyborcze decyzje pracowników i studentów, którzy musieli dokumentować, jak głosowali (często organizowano im głosowanie zbiorowe, w samokontrolującej się grupie – przypominało to Polskę Ludową w okresie, kiedy PPR z pomocą UB łamała mikołajczykowskie PSL). W Rosji nazwano to „korporacyjną mobilizacją".

Nie brakowało również stosowania innych metod. Bardzo szeroko agitowano (często – nakłaniano) np. do głosowania elektronicznego, uznanego przez rosyjską opozycję za zupełnie niekontrolowane i umożliwiające wszelkie manipulacje (warto skądinąd, by zwrócili na to uwagę rodzimi zwolennicy wyborów internetowych...). W szerokim zakresie nie dopuszczano do czynności obserwatorów z ramienia uczestniczących w wyborach partii i kandydatów (ponieważ prawdziwej opozycji na udział w wyborach nie pozwolono, cały proces sztucznego zwiększania rezultatu ugrupowania Putina odbywał się kosztem opozycji licencjonowanej). A wszystko to robiono bardziej niż kiedyś brutalnie i z większą dozą bezczelności i pospolitego chamstwa; np. na Sachalinie niezidentyfikowany samochód po prostu zatarasował drogę do komisji wyborczej w momencie, gdy jechał do niej obserwator, i nie ruszył się przez wiele godzin.

Przeważało jednak zastraszanie wyborców i czy to zmuszanie ich wprost do poparcia Jednej Rosji, czy to stwarzanie atmosfery, w której inne zachowanie uznawali oni za powodujące zagrożenie. Bo przecież pracę można stracić, ze studiów wylecieć, a w ogóle władza ma sto sposobów, żeby się na niepokornym odegrać... Czy warto?

Masowe zastraszanie

Co charakterystyczne – praktycznie nie ma śladów, aby wyborcy na większą skalę skorzystali z suflowanych przez część emigracyjnej opozycji (część – bo stopień rozbicia i niezgody między rosyjskimi demokratami jest nieprawdopodobny; nikogo nie dziwi to, iż nie była ona w stanie wypracować jednolitej strategii postępowania w czasie wyborów) pomysłów mających na celu umożliwienie im okazania reżimowi niezgody w sposób zapewniający osobiste bezpieczeństwo.

A takie propozycje były rozpowszechniane przez dość szeroko odbierane w Rosji emigracyjne media tradycyjne i społecznościowe. Opierały się na pomyśle, aby masowo głosować na kandydatów partii legalnej, licencjonowanej opozycji – by zamanifestować sprzeciw wobec głównego sworznia systemu: Jednej Rosji. Nie były to, warto zauważyć, rozwiązania nowatorskie – to pomysł Aleksieja Nawalnego z 2011 r., potem powtarzany przy okazji kolejnych wyborów parlamentarnych i prezydenckich. Stał się na tyle popularny, że ślady takiego „inteligentnego", jak nazwali to twórcy tej koncepcji, głosowania dawało się zauważyć. W 2026 r., po raz pierwszy, zupełnie się nie dało.

Ponieważ, jak już stwierdziłem, nie sposób wyjaśnić tego masowym poparciem ludności dla władzy, pozostaje to zachowanie wyborców związać z masowym zastraszaniem. Zastraszaniem zagrożeniem wcale nie fikcyjnym – wyroki więzienia (nie w zawieszeniu) dla opozycjonistów często przekraczają już 10 lat, przy czym do skazania potrafi wystarczyć wpis w sieciach społecznościowych (ba – nawet repost cudzego postu) czy wykonanie na murze napisu „Precz z wojną!".

Zmniejszać luz

Nie znaczy to, aby można było twierdzić, iż gdyby nie to zagrożenie, zachowanie społeczeństwa na pewno byłoby jakościowo odmienne. Ale władza najwyraźniej nie chce pod tym względem ryzykować czegokolwiek, w najmniejszym nawet stopniu.

O czym dobitnie świadczy sprawa Jabłoka.

Ta liberalna partia (momentami – partyjka), swoją genezą związana jeszcze z latami 90., przechodziła różne koleje losu, dryfowała, stawała się bardziej lub mniej zależna lub opozycyjna wobec Kremla. I nigdy nie sprawiała wrażenia autentycznego dla władzy zagrożenia – i z racji małej liczebności, i dlatego iż lata 90. wciąż kojarzą się Rosjanom bardzo źle, i z braku porywającego przywództwa. Ale w sytuacji, w której cieszące się bez porównania większym poparciem inicjatywy antyputinowskie zostały rozgromione, a ich przywódcy uwięzieni, zmuszeni do emigracji lub zamordowani, Jabłoko pozostało jedyną, przy tym wciąż legalną, partią, która pozwalała sobie nie tylko na krytykę reżimu, ale i jednoznaczne wyłamywanie się z prowojennego, antyukraińskiego chóru. Co ważne – zachowywała się w ten sposób konsekwentnie od 2022 r.

Władze wiedziały więc, co robią, kiedy decydowały o dopuszczeniu Jabłoka do wyborów parlamentarnych. A dopuściły – co oznacza, że zatwierdził tę decyzję Władimir Władimirowicz. Dopuściły – po to, by następnie, dosłownie niespełna dwa tygodnie później, pod niesłychanie naciąganymi pretekstami rejestrację na szczeblu centralnym cofnąć. Pozostali kandydaci Jabłoka w okręgach jednomandatowych byli już lokalnie skreślani decyzjami sądów, na wniosek konkurentów lub samych komisji wyborczych. Albo – zmuszani do wycofania się, np. poprzez groźby wobec rodziny. Brutalność rosyjskich

> Skoro taka machina, jaką był ZSRR, potrafiła runąć niemal bez zapowiedzi, to może się tak stać i teraz. Dlatego ilość luzu w systemie może się zmieniać tylko w jedną stronę – jego zmniejszania



FOT. STRINGER/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 25c31a5032

władz nie zaskakuje. Ale przecież, powtórzmy, wiedziały one doskonale, kogo rejestrują. Dlaczego zatem to uczyniły, by następnie błyskawicznie zdezawuować własną decyzję? Robi to wrażenie dziwacznej histerii.

Można jednak też zwrócić uwagę na pewną cechę rządzących Rosją. Przy czym należy pamiętać, że to grupa w zasadzie jednolita generacyjnie. Ludzie po siedemdziesiątce, niekiedy dobrze po siedemdziesiątce. Co samo w sobie zapowiada, że kiedy Pan zacznie przyzywać do siebie jej członków, na Kremlu nastąpi ostry kryzys sukcesyjny – w ramach grupy nie będzie dużo młodszych pretendentów do zajęcia stanowiska numer jeden. A Putin, inaczej niż wielu innych przywódców państw poradzieckich, jak dotąd wydaje się w ogóle nie dbać o zapewnienie kontynuacji systemu po swoim odejściu. Jest to też grupa jednolitej proweniencji – w większości ludzie ci pochodzą jeszcze z radzieckich służb specjalnych i siłowych. Z ich specyficzną optyką.

W związku z powyższym kremlowska drużyna, i osobiście Putin, są naznaczeni szczególnym, formacyjnym doświadczeniem. Na ich oczach rozpadł się Związek Radziecki, który wydawał się stabilny i kompletnie niezagrożony. I tak było do pewnego stopnia rzeczywiście – w drugiej połowie lat 80. ruch dysydencki był de facto rozbity przez KGB, narodowościowe separatyzmy w republikach związkowych również były – jeszcze – trzymane pod kontrolą. W tej, wydawałoby się, bardzo bezpiecznej z punktu widzenia radzieckiej państwowości rzeczywistości pojawił się nagle Michaił Gorbaczow. Troszeczkę poluzował – i w ciągu bardzo krótkiego czasu cały system został zdestabilizowany. A po kilku latach runął.

Obecnie władający Kremlem dobrze to pamiętają. I wyciągnęli z tego doświadczenia jedną naukę: trzeba dmuchać na zimne, bo skoro taka machina, jaką był ZSRR, potrafiła runąć niemal bez zapowiedzi, to może się tak stać i teraz. Zwłaszcza jeżeli poluzować. Dlatego przede wszystkim – nie wolno luzować. Nigdy. A ilość luzu w systemie może się zmieniać tylko w jedną stronę. Jego zmniejszania.

Jabłoko nie wydawało się zagrożeniem. I nim nie było. Ale gdy zaraz po rejestracji jego kampania zaczęła nabierać rumieńców, gdy na Kreml zaczęły docierać sygnały świadczące o tym, że może ona zyskiwać nieoczekiwaną dynamikę – a przede wszystkim odegrać rolę platformy, na której zgromadzą się niezadowoleni, gdy poparła je liberalna emigracja – zdecydowano, że jednak nie czas na eksperymenty. Z dwojga złego lepiej zachować się niekonsekwentnie, nawet dać powód do snucia opowieści, jak to się boimy społeczeństwa, niż dopuścić do jakiegoś poluzowania. Bo był już taki jeden, co myślał, że wszystko kontroluje i może poluzować – Gorbaczow się nazywał...

Subiektywnie się boją

Równie pod tym względem uderzający jest inny aspekt sprawy wyborczej. Ustalenie tzw. wyników tzw. wyborów, polegające na zapewnieniu Jednej Rosji samodzielnej większości konstytucyjnej, odbyło się ani nie kosztem demokratycznej opozycji (której do wyborów nie dopuszczono), ani nie kosztem kształtujących się dopiero, niekontrolowanych przez władzę środowisk nacjonalistycznych (jak niezadowoleni ze zbyt, ich zdaniem, wstrzemięźliwego sposobu prowadzenia wojny „Z-patrioci"). Nastąpiło kosztem ugrupowań licencjonowanej opozycji. Kosztem partii kontrolowanych przez Administrację Prezydenta. Jak najbardziej systemowych i (choć w różnym stopniu) popierających wojnę z Ukrainą.

Przede wszystkim kosztem największej z nich: Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej. Jej odwieczny lider Giennadij Ziuganow zaczął w związku z tym nagle mówić, że nie podoba mu się kurs, w którym Jedna Rosja prowadzi kraj. – Jeśli nie zmieni się kurs i dalej będzie trwała ta wyniszczająca wojna, wszyscy przegrają – powiedział. Ale to dopiero po wyborach, w których, jak ogłoszono, Rosjanie zdecydowali pozbawić komunistów wielu mandatów – a co za tym idzie, możliwości utrzymywania własnych sfer wpływów w rosyjskiej „głubince". Przed wyborami, przez lata, byli Ziuganow i jego partia (tak jak i inne ugrupowania licencjonowanej opozycji, przecież nie tylko kontrolowanej, ale w dużej mierze wręcz stworzonej przez kremlowskich polittechnologów) z punktu widzenia władzy obliczalni, kompatybilni i w pełni systemowi.

A tu nagle okazało się, że w tych ciężkich czasach nie można im ufać w pełni. Że machina państwowa musi być całkowicie kontrolowana przez najbardziej zaufanych. Bo, najwyraźniej myślą na Kremlu, może w kraju zadziać się coś takiego, że nawet tylokrotnie sprawdzonym politykom ugrupowań licencjonowanej opozycji może przyjść do głowy pomysł z punktu widzenia systemu destrukcyjny. I wtedy sytuacja może się wyrwać spod kontroli. Jak Gorbaczowowi w latach 80.

A co się może zadziać? – Żywimy złudzenia, że na Ukrainie wszystko się zawali. Nie zawaliło się i nie zawali. Rosną płacone przez nas koszty. Wierzę, że Rosja się nie rozpadnie, ale jestem niemal pewien, że dojdzie do kryzysu społecznego – powiedział na posiedzeniu Nikitskiego Klubu Giełdy Moskiewskiej główny ekonomista państwowej korporacji WEB Andriej Klepacz. Dodał, że ten kryzys „przyjdzie w najmniej oczekiwanej chwili". I porównał sytuację w kraju do tej sprzed rewolucji lutowej 1917 r., a także tej sprzed upadku ZSRR. Klepacz, niegdyś wiceminister, utracił stanowisko w państwowej korporacji.

Można uznać, że Klepacz to panikarz. Że rządzący Rosją mają, obiektywnie, wszelkie powody, by nie lękać się własnego społeczeństwa. By nie bać się o własną przyszłość. Ale to jest obiektywnie. A subiektywnie – lękają się i boją. ©℗

Autor jest publicystą. W latach 2019–2022 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie



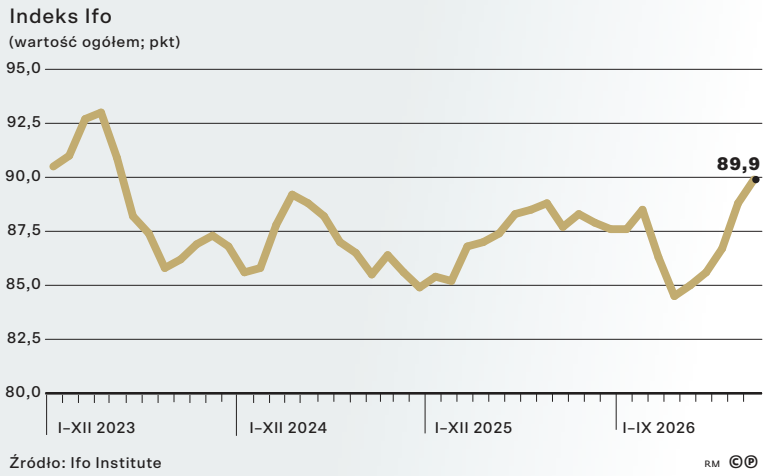
Mniej Więcej

Łukasz

Wilkowicz

Ifo daje nadzieję niemieckiej gospodarce

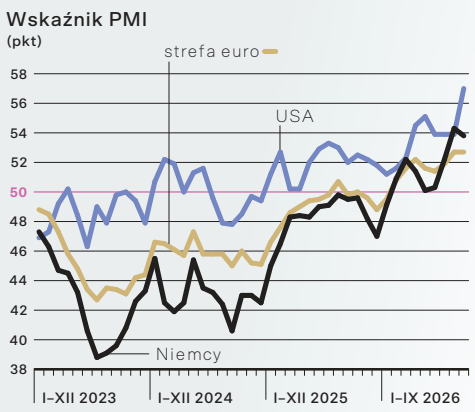
Utrzymująca się słabość niemieckiej gospodarki to problem również dla firm w Polsce. W końcu ponad jedna czwarta naszego eksportu trafia do odbiorców za Odrą. Być może sprawy zaczynają przybierać nieco lepszy obrót. Na to wskazują wyniki nowego badania koniunktury instytutu Ifo. Obliczany przez niego wskaźnik optymizmu firm znalazł się we wrześniu na najwyższym poziomie od maja 2023 r. Wprawdzie w porównaniu z poprzednim miesiącem urósł tylko minimalnie, ale analitycy spodziewali się raczej spadku niż wzrostu. W górę poszły zarówno oceny bieżącej sytuacji, jak i oczekiwania. Prawdopodobieństwo, że gospodarka będzie się rozwijać, urosło do 94,4 proc. To najwyższy poziom od 3,5 roku. ©℗



Źródło: Ifo Institute RM ©℗

PMI: Europa daleko za Ameryką

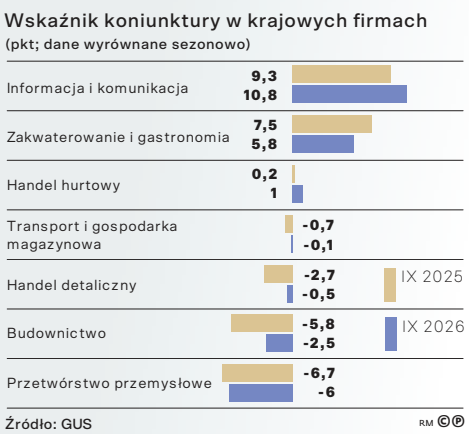
O ekspansji w niemieckim przemyśle świadczą również najświeższe dane o wskaźniku PMI. Wprawdzie we wrześniu był on nieznacznie niższy niż miesiąc wcześniej, ale od lutego utrzymuje się powyżej granicy 50 pkt, oddzielającej strefy recesji i ekspansji. Niemcy mają największy wpływ na PMI w strefie euro. Tam wskaźnik dla przemysłu utrzymał się we wrześniu na najwyższym poziomie od wiosny 2022 r., czyli od czasu wychodzenia z pandemii. Ale Europie daleko jednak do tego, co się dzieje w USA. Tam we wrześniu przemysłowy PMI był najwyższy od niemal 4,5 roku: rosły zarówno bieżąca produkcja, zamówienia, jak i zatrudnienie. ©℗



Źródło: Stooq.pl RM ©℗

W Polsce delikatna poprawa koniunktury w firmach

„We wrześniu 2026 r. wskaźniki w większości prezentowanych sektorów wskazują na pogorszenie lub stabilizację koniunktury w gospodarce w stosunku do sierpnia br." – podał GUS. Największe pogorszenie miało miejsce w zakwaterowaniu i gastronomii. Nie miało to wyłącznie sezonowego charakteru, bo spadek można zauważyć zarówno w porównaniu z poprzednim miesiącem, jak i z tym samym miesiącem poprzedniego roku. W ujęciu rocznym we wszystkich branżach prócz zakwaterowania nastąpiła poprawa. Największa dotyczyła budownictwa, choć tam wciąż więcej jest firm oceniających sytuację negatywnie niż pozytywnie. ©℗



Źródło: GUS RM ©℗

eprasa.pl 25c31a5032

Rosja będzie czekać na odpowiedni moment

Ukraińcy otrzymają jakieś reparacje z rosyjskich źródeł, choć nie tyle, ile by chcieli. Kluczowe pytanie będzie brzmiało: jeśli nie wystarczy pieniędzy na pokrycie wszystkich strat, jak je rozdzielić?

Z Norbertem

Wühlerem

rozmawia Karolina Wójcicka

Jest pan członkiem zarządu międzynarodowego Rejestru Szkód dla Ukrainy, który gromadzi roszczenia dotyczące strat poniesionych w wyniku rosyjskiej agresji. Mają one w przyszłości stanowić podstawę mechanizmu odszkodowawczego. Otrzymaliście dotychczas prawie 190 tys. zgłoszeń. Zacznijmy więc od początku: jak analizujecie tak dużą ilość danych?

Ogólna odpowiedź brzmi: to zależy. Zwykle mamy do czynienia z roszczeniami tego samego rodzaju. Po inwazji Iraku na Kuwejt, kiedy 900 tys. osób musiało opuścić region, Komisja Odszkodowawcza ONZ zdecydowała, że mieszkańcy, którzy będą w stanie wykazać, iż uciekli stamtąd w określonym przedziale czasowym, i mają dowód tożsamości, otrzymają konkretną kwotę. Tak więc najpierw musieliśmy sprawdzić tożsamość tych ludzi. To było stosunkowo łatwe. Następnie trzeba było się upewnić, że dana osoba rzeczywiście przebywała na terenie objętym wojną i została zmuszona do jego opuszczenia. Jak to zrobiliśmy? Zbieraliśmy wszelkiego rodzaju dokumenty dotyczące tego regionu. Choćby dzięki Jordanii, która pomagała ludziom w tranzycie. Prowadzono tam rejestry osób, którym zapewniono żywność i schronienie. Zdobyliśmy też listy pasażerów statków i samolotów, które ewakuowały ludzi. Wszystko to było ręcznie wprowadzane do bazy danych, a następnie dopasowywane do konkretnych poszkodowanych.

A jak wygląda to dzisiaj?

Dzisiaj nie trzeba już ręcznie wprowadzać wszystkich informacji. Może to za nas zrobić sztuczna inteligencja, która umieszcza je w bazie danych i automatycznie dokonuje niezbędnych czynności.

O ile szybszy jest teraz cały proces?

W przeszłości zatrudniliśmy firmę z Indii, bo była tania. Miała też doświadczenie i dobrych specjalistów od baz danych. Całe przedsięwzięcie zajęło około sześciu miesięcy. Obecnie może to być kwestia dni, a nawet godzin. W przypadku Ukrainy można by np. polecić AI, by zebrała informacje ze wszystkich możliwych źródeł, gdybyśmy – rzecz jasna – mieli do nich dostęp. Chodzi m.in. o informacje dotyczące osób przesiedlonych, zarówno wewnątrz kraju, jak i poza jego granicami. Ukraina prowadzi wiele rejestrów i ma dużo danych o swoich obywatelach. Można by pozwolić AI przeanalizować te informacje i udostępnić je w formie, której opracowanie nie wymagałoby od ludzi ogromnego wysiłku.

Do tej pory, mówiąc o szkodach, za które można otrzymać odszkodowanie, myślałam przede wszystkim o stratach materialnych: zniszczonych domach czy mieszkaniach. A pan mówi, że roszczenia mogą dotyczyć również przesiedlenia. Jakie są najczęstsze typy roszczeń w Ukrainie?

Najpowszechniejsze roszczenia – nie tylko w Ukrainie, lecz także w innych państwach, np. w Syrii – dotyczą sytuacji, w której ktoś wraca do kraju po wojnie i zastaje w swoim domu inną osobę. W warunkach konfliktu i chaosu takie miejsca zazwyczaj nie pozostają przecież puste. Drugi lokator, jak nazywamy taką osobę w naszej terminologii, albo kupił mieszkanie, nie wiedząc, że osoba, która mu je sprzedaje, nie działała w dobrej wierze, albo sam uzyskał je w sposób niezgodny z prawem. Na przykład poprzedni reżim przydzielił lokale swoim ludziom. Jednym z zadań komisji jest więc ustalenie, kto jest prawowitym właścicielem.

Drudzy lokatorzy mają jakieś prawa?

Jeśli działali w dobrej wierze, czyli nie wiedzieli, że kupują mieszkanie, które w rzeczywistości nie należy do osoby sprzedającej, zazwyczaj są dwie możliwości. Wyprowadzają się i otrzymują pieniądze będące równowartością mieszkania, żeby mogli kupić sobie inne. Albo mogą zostać, a pierwotny właściciel dostaje pieniądze odpowiadające wartości nieruchomości.
Tak właśnie działają komisje w Kosowie. Mieliśmy tam sytuacje, w których ludzie wracali i znajdowali inne osoby w swoich domach. Albo opuścili je z powodów politycznych. Zanim powstała komisja, kosowscy Albańczycy byli wypędzani przez Serbów. Gdy wkroczyło NATO, Serbowie wyjechali do Serbii, a kosowscy Albańczycy wrócili. Komisja nadal jednak otrzymywała roszczenia od Serbów, ponieważ oni również opuścili swoje nieruchomości albo w ich domach pojawili się drudzy lokatorzy. Komisja musiała więc ustalić, kto jest prawdziwym właścicielem.
Obecna sytuacja polityczna powoduje, że Serbowie nie wracają do Kosowa, nawet jeśli mieli tytuł własności. Mogli np. sprzedać mieszkanie. W Prisztinie nadal jest sporo nieruchomości należących do Serbów, które są wynajmowane kosowskim Albańczykom. W wielu przypadkach są one zarządzane przez agencję Unii Europejskiej. Jest ona niejako pośrednikiem między Serbią a kosowskim najemcą, bo obie strony nie chcą mieć ze sobą bezpośredniego kontaktu. W ten sposób właściciele mogą czerpać korzyść ekonomiczną ze swoich nieruchomości.

A co się stanie z nieruchomościami na okupowanych przez Rosję terytoriach w Ukrainie?

Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie wiem, jaki wpływ na sytuację będzie miał ewentualny układ pokojowy ani jaki dostęp do tych terenów będą mieć Ukraińcy, którzy stamtąd wyjechali i dziś nie mogą wrócić. Nawet jeśli zdecydują się nie wracać, będą chcieli zachować ekonomiczną wartość swoich nieruchomości. Mamy już tego typu roszczenia w rejestrze. Chodzi o osoby, które wyjechały ze wschodu, a ich nieruchomości zostały uszkodzone lub zniszczone. Składają więc roszczenia dotyczące poniesionych szkód.

Jak oceniacie te roszczenia? Za pomocą zdjęć satelitarnych?

Duża część szkód jest weryfikowana na podstawie zdjęć satelitarnych. Na przykład Mariupol jest bardzo zniszczony. Być może są osoby, które wyjechały z tej samej miejscowości na wschodzie i mogą potwierdzać stan swoich nieruchomości. Zdarzało się to także w Kosowie. Trzeba jednak zweryfikować, czy mówią prawdę.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Norbert Wühler – członek zarządu Rejestru Szkód dla Ukrainy, prawnik specjalizujący się w roszczeniach, restytucji i odszkodowaniach. W przeszłości był m.in. szefem działu prawnego Komisji Odszkodowawczej ONZ i dyrektorem departamentu ds. reparacji Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji

Z tym może być problem. To ogólny problem, nie tylko w Ukrainie.

Załóżmy więc, że dane roszczenie zostało już rozpatrzone i zweryfikowane. Co się dzieje później?

Nasz rejestr służy tylko do zgłaszania roszczeń. Ma zapewnić, że mieszczą się one w określonych ramach i dotyczą właściwego okresu. Nie mogą dotyczyć czegoś, co wydarzyło się przed 2022 r. Oczywiście mieliśmy takie roszczenia, ale nie zostaną one zarejestrowane.

Dlaczego tylko od 2022 r.?

Taka decyzja została podjęta na szczeblu międzynarodowym. To duży problem, bo wiele osób zostało przesiedlonych krótko po 2014 r. Mówią: dlaczego ludzie, którzy zostali przesiedleni po 2022 r., mogą teraz coś otrzymać? Dlaczego nie ja? Ale taką decyzję podjęto przy tworzeniu rejestru. Został on utworzony na podstawie międzynarodowego porozumienia w Radzie Europy. I jako osoby odpowiedzialne za jego prowadzenie nie możemy nic z tym zrobić.

Wielu może się wydawać, że rozmawiamy o czymś abstrakcyjnym. Trudno przecież oczekiwać, że Rosja kiedykolwiek zapłaci Ukrainie reparacje, z których można byłoby sfinansować odszkodowania. Z pomocą mogą jednak przyjść rosyjskie aktywa zamrożone w Europie. Czy powinniśmy wykorzystać je w tym celu?

Kiedyś opowiadałem się za ich wykorzystaniem. Teraz nie jestem już tego taki pewien. Od pewnego czasu słyszę i czytam komentarze mówiące o tym, że gdyby tak zrobiono, Europa mogłaby zapomnieć o pozyskiwaniu jakichkol-

eprasa.pl 25c31a5032

wiek zagranicznych środków, bo nikt nie ufałby, że będą w niej bezpieczne na wypadek jakiegoś sporu czy konfliktu. Nie można tak po prostu odrzucić tego argumentu. Realistycznie rzecz biorąc, nie sądzę, żeby te pieniądze zostały po prostu wyjęte z rachunku i przekazane komisji odszkodowawczej.

Kto więc wypłaci Ukraińcom odszkodowania?

Rosja, która z kompleksowego porozumienia kończącego konflikt uzyska więcej, niż wyniosą reparacje. Zapłaci w zamian za inne elementy porozumienia. Taka jest moja osobista opinia.

Może być odwrotnie: Rosja wykorzysta kwestię reparacji jako kartę przetargową. Przehandluje je za inne elementy porozumienia.

Tak, ale działa to w obie strony. Na tym polegają negocjacje. Ty masz coś, ja mam coś. Zobaczmy, ile jesteśmy w stanie sobie nawzajem dać, jak potraktujemy drugą itd. Nie widzę innego rozwiązania. Nie będzie przecież tak, że Rosja zostanie pokonana militarnie i automatycznie będziemy mogli powiedzieć: „Teraz zmusimy was do zapłaty". Rosja nie zgodzi się dobrowolnie na żadne porozumienie. Będzie czekać, aż nadejdzie odpowiedni moment. Wtedy będzie chciała odzyskać dostęp do zamrożonych aktywów swojego banku centralnego. Być może jednym z rozwiązań byłoby uwalnianie tych aktywów etapami w zamian za wpłaty do funduszu reparacyjnego. Można by też stopniowo znosić sankcje dotyczące eksportu ropy naftowej i gazu w zamian za określony procent wpływów z ich sprzedaży.

Jak to zorganizowano na Bałkanach i w innych częściach świata, w których ma pan doświadczenie?

Zawsze była to kwestia tego, czy istniała polityczna wola, żeby przeznaczyć określone fundusze na odszkodowania. Restytucja zazwyczaj odbywała się bez wypłacania pieniędzy. Potwierdzano tytuł własności. Ludzie mogli wrócić albo nie, a później sprzedać nieruchomość. Tylko w Iraku mieliśmy sytuację, w której czasem trzeba było wypłacić odszkodowania drugiemu lokatorowi lub pierwotnemu właścicielowi, jeśli tamten pozostał w mieszkaniu. W Bośni i Kosowie nie wypłacano odszkodowań. Potwierdzano jedynie prawo własności.

Czy wierzy pan, że Ukraińcy kiedyś otrzymają reparacje?

Myślę, że otrzymają jakieś pieniądze z rosyjskich źródeł. Nie będzie ich tyle, ile by chcieli, i nie wystarczą one do pokrycia wszystkich szkód.

Rosja wypłaci Ukraińcom odszkodowania, jeśli z kompleksowego porozumienia kończącego konflikt uzyska więcej, niż wyniosą reparacje. Zapłaci w zamian za inne elementy porozumienia

Dla mnie ważniejsze jest to, że istnieją roszczenia Ukraińców dotyczące zniszczonych lub uszkodzonych domów, zabitych członków rodziny, zaginionych, obrażeń, leczenia obrażeń, gwałtu, tortur w niewoli itd. To są typowe roszczenia indywidualne. Mamy też roszczenia przedsiębiorstw i roszczenia państwa. Dotyczą one znacznie większych kwot niż te indywidualne. Ostatecznie pytanie będzie więc brzmiało: jeśli nie wystarczy pieniędzy na wszystko, jak rozdzielić je między różne kategorie roszczeń?

Jak? Czy zostaną ustalone jakieś priorytety?

Osobiście zabiegałem o to, żeby przyznać priorytet ofiarom gwałtów. Zasiadam w zarządzie organizacji Trust Fund for Victims of Rape. Uważam, że to są osoby, które zasługują na pierwszeństwo.

Jak się wycenia gwałt?

Nie da się odpowiedzieć na to pytanie. Myślę, że ważne jest to, że ofiary gwałtów otrzymują cokolwiek, w tym uznanie, że to, co im się przydarzyło, było straszne. Powinniśmy też coś zmienić w naszym społeczeństwie, aby ludzie ci nie byli dyskryminowani przez resztę życia. To moim zdaniem bardzo ważne. Czy kiedykolwiek otrzymają wystarczająco dużo? Nigdy. Zgwałcone kobiety, a nawet mężczyźni są naznaczeni traumą przez całe życie. Często są dyskryminowani we własnych społeczeństwach. To szczególnie ważne, jeśli mają dzieci. One również są dyskryminowane. W niektórych miejscach nie mogą chodzić do szkoły.

Czy dostaną taką samą kwotę jak np. uchodźcy?

Nie. Nie ma uniwersalnego standardu w takich sprawach. Każdy program podchodzi do tego inaczej. W Ukrainie istnieje już coś takiego. To pierwsza inicjatywa, która rozpatruje tego typu roszczenia i przyznaje pieniądze ofiarom gwałtów. ©℗

REKLAMA



NOWY NUMER

ZEBRAĆ MILIONY ZŁOTYCH
I NADAL CZUĆ NIEDOSYT?

Historia Mikołaja Motza, który po osiągnięciu sukcesu na rynku tradycyjnych funduszy postawił na blockchain.

Szukaj w salonach prasowych,
na Literia.pl i czytaj na Forbes.pl

eprasa.pl 25c31a5032

Historia

Gdy Germania postawiła Rzymowi granicę

Choć pomnik Hermanna Cheruskera dziś jest po prostu atrakcją turystyczną, to bitwa w Lesie Teutoburskim nadal wpływa na tożsamość, politykę i podziały wśród Europejczyków



FOT. IURII BURIAK/ISTOCKPHOTO/GETTY IMAGES

Zofia

Brzezińska

Bitwa w Lesie Teutoburskim, stoczona pomiędzy trzema legionami rzymskimi (XVII, XVIII, XIX) a plemionami germańskimi, nie była nawet największą militarną klęską Rzymu. Istniejące już wówczas ponad siedem wieków i będące u szczytu swej potęgi imperium zaznało w swoich dziejach goryczy porażki, m.in. podczas konfliktów z Galami czy Kartagińczykami. Jednak to właśnie rzymską przegraną w Lesie Teutoburskim wielu historyków określa mianem największej klęski strategicznej Wiecznego Miasta. Klęski, która położyła kres marzeniom Oktawiana Augusta o podboju całej Germanii i przesunięciu granicy imperium z Renu nad Łabę, i która sprawiła, że już do końca swego istnienia cztery wieki później Rzymianie nie próbowali więcej zawładnąć tymi ziemiami.

Bohater czy zdrajca?

Jak jednak doszło do tego, że rozproszone plemiona germańskie zdołały zetrzeć całkowicie w pył aż trzy potężne legiony rzymskie? Źródeł ich sukcesu jest wiele, ale dwa z nich wysuwają się wyraźnie na pierwszy plan.

Przede wszystkim dowodził nimi człowiek, który odebrał gruntowną rzymską edukację wojskową. Arminiusz był synem wodza Cherusków Sigimera (plemię to jest wymienione przez Tacyta w dziele „Germania"). Przyszedł na świat ok. 16 r. p.n.e. i zgodnie z ówczesną praktyką polityczną jako syn sojuszniczego wodza został zabrany do Wiecznego Miasta w charakterze zakładnika. Rzymianie często stosowali tę metodę, bo z jednej strony pragnęli zagwarantować sobie lojalność ojca, a z drugiej – liczyli na to, że wykształcony w rzymskim duchu zakładnik powróci kiedyś na swoje ziemie, gdzie będzie prowadził sprzyjającą im politykę. Motyw ten wykorzystał Henryk Sienkiewicz, czyniąc główną bohaterkę „Quo vadis" Ligię zakładniczką, córką króla fikcyjnego plemienia Ligów. Rzeczywiście zdarzało się, że jako zakładniczki brano również córki elit innych narodów – chociaż znacznie częściej spotykało to synów.

Arminiusz przeszedł przeszkolenie wojskowe, a do 7 r. n.e. służył w armii rzymskiej. Za swoje dokonania (walczył m.in. z barbarzyńskimi plemionami na terenie obecnych Węgier) otrzymał obywatelstwo. Współczesny mu historyk Wellejusz Paterkulus opisywał go następująco: „Potomek znakomitego rodu, dzielny w boju, odznaczał się Arminiusz bystrym umysłem, inteligencją więcej niż barbarzyńską i żarem ducha, przebijającym również z twarzy i oczu. Towarzyszył systematycznie Rzymianom w poprzedniej serii wypraw i uzyskał nawet obywatelstwo rzymskie na prawach rycerza". Któż więc mógł przypuszczać, jakie ambicje i myśli naprawdę zajmują umysł tego wiernego żołnierza? Czy były one w nim od zawsze, zrodzone wraz z buntem wobec losu traktowanego dobrze i kształconego, ale jednak wciąż zakładnika? Czy może wykiełkowały one dopiero wówczas, gdy Oktawian August podjął śmiały plan podporządkowania sobie całej Germanii i przesunięcia granicy imperium z Renu nad Łabę?

Zanim cesarz wystąpił z takim zamiarem, relacja Rzymu z Cheruskami była typowym dla pogranicza układem „sojusz – zależność – napięcie". Po dotarciu do granic Renu (koniec I w. p.n.e.) Rzymianie zaczęli postrzegać Germanów mieszkających po jego wschodniej stronie jako potencjalnych sojuszników, względnie źródło rekrutów do swojej armii. Zdarzały się sporadyczne konflikty, ale też prężnie rozwijał się handel, a Ren pełnił bardziej funkcję łącznika niż twardej granicy. Ten układ rzeczy zmienił Oktawian August, zarządzając w latach 12 r. p.n.e. – 6 r. n.e. serię wypraw na tereny Germanii.

Około 7 r. n.e. Arminiusz, już jako wolny człowiek i obywatel rzymski, podjął decyzję o powrocie na ojczystą ziemię. Cesarz, który zapewne spodziewał się, że będzie on kontynuował prorzymską politykę, przeżył srogi zawód. Arminiusz zmienił obóz i opowiedział się wyraźnie po stronie swoich rodaków. Rozzłoszczony władca rozkazał jesienią 9 r. n.e. zorganizować jeszcze jedną kampanię, która miała poskromić byłego sojusznika. Dowódcą wyprawy mianowano Publiusza Kwinktyliusza Warusa, namiestnika Germanii. Miał on już za sobą lata służby militarnej. Prawdopodobnie oczekiwał, że marsz przez ziemię barbarzyńców będzie kolejną rutynową operacją zakończoną sukcesem stojącego u szczytu swej potęgi cesarstwa. Zamiast zwycięstwa czekała go jednak pułapka.

Las, który dołączył do bitwy

Po wkroczeniu do puszczy okazało się, że armia rzymska, niemal niezwyciężona na otwartym polu, nie jest przygotowana do walki w terenie leśnym. To właśnie jest drugie zasadnicze wyjaśnienie porażki Rzymu.

Legioniści zmuszeni byli się poruszać wąską i błotnistą ścieżką, jednocze-

eprasa.pl 25c31a5032

śnie transportując broń i ciężki sprzęt wojskowy. W pewnym momencie Warus stracił panowanie nad sytuacją. Maszerująca linia wojsk rozciągnęła się na długość około 15 km. Historyk Kasjusz Dion wypominał później Warusowi, że nie wysłał on w tych okolicznościach zwiadowców.

Część żołnierzy nagle została zaatakowana przez wojowników germańskich. Z powodu rozproszenia grupy towarzysze nie byli w stanie przyjść im z odsieczą. Pomimo odniesionych wówczas strat ocalali Rzymianie zdołali rozbić na noc ufortyfikowany obóz i następnego poranka wyrwać się z okrążenia. Ze względu na bardzo intensywne deszcze ciężkozbrojni legioniści z trudem się poruszali i mieli ograniczone możliwości użycia broni.

Rzymianie wpadli w kolejną pułapkę przygotowaną przez Arminiusza prawdopodobnie u stóp wzgórza Kalkriese (w pobliżu dzisiejszego Osnabrück). Wzdłuż drogi, gdzie urządzono zasadzkę, wzniesiono ziemno-kamienny mur, zza którego Germanie mogli bezpiecznie mierzyć do przeciwników. Rzymianie w desperacji próbowali dokonać frontalnego ataku na mur, ale nie zdołali go sforsować. Ostateczny atak Germanów rozstrzygnął sprawę.

Podczas trwających trzy dni i dwie noce walk poległy trzy rzymskie legiony. Spośród około 20 tys. legionistów i kilku tysięcy ludzi ze służb pomocniczych i towarzyszących ocalało zaledwie kilkunastu, którzy zdołali uciec na bagna. Kilkuset Rzymian zostało wziętych do niewoli. Germanie zdołali zdobyć także trzy orły legionowe – najważniejszy symbol legionu rzymskiego wykonany najczęściej ze srebra lub złoconego metalu, umieszczony na drzewcu i przechowywany w obozowym sanktuarium. Symbolizował on honor, tożsamość i ciągłość legionu, a jego utrata była traktowana jako najwyższa hańba i oznaka rozbicia jednostki. Zdruzgotany klęską i upokorzony Warus popełnił samobójstwo, rzucając się na miecz. Na ten sam krok zdecydowała się także większość jego oficerów.

Zgliszcza snu Oktawiana

Na wieść o katastrofie pod Teutoburgiem Oktawian August miał wypowiedzieć słynne słowa: „Kwinktyliuszu Warusie, oddaj legiony". Przesądność Rzymian spowodowała, że po tej klęsce żaden z legionów nie został już oznaczony jako XVII, XVIII i XIX. Klęska poskutkowała utratą przez Rzym ziem germańskich na wschód od Renu.

W latach 15–16 n.e. na czele wojsk rzymskich dwukrotnie dotarł do Lasu Teutoburskiego wódz Germanik, bratanek cesarza Tyberiusza. Lud rzymski pokładał w tym młodym człowieku wielkie nadzieje; Tacyt w swoich opisach Germanika podkreślał jego zalety fizyczne i duchowe. Dostrzegał je także cesarz Oktawian August, który wyznaczając Tyberiusza na swojego następcę, zobowiązał go do adoptowania Germanika i uczynienia go swoim następcą.

Germanik bardzo poważnie podszedł do swojej misji. Podczas pierwszej kampanii dopilnował tego, aby Rzymianie, którzy polegli w Lesie Teutoburskim, zostali godnie pochowani. Później ścierał się jeszcze z armią Arminiusza, odnosząc kilka zwycięstw, ale ostatecznie został odwołany przez cesarza Tyberiusza, który doszedł do wniosku, że wojny z Germanią są dla państwa zbyt kosztowne. Aż do końca istnienia zachodniego cesarstwa żaden z jego władców nie powrócił już więcej do koncepcji podbicia całej Germanii.

Chociaż sławnego pogromcę Rzymu pod Teutoburgiem spotkał przykry koniec – w 21 r. został zamordowany przez swoich współplemieńców z powodu próby przejęcia władzy królewskiej – to jego odlegli o wieki czy nawet tysiąclecia potomkowie okazali mu nieporównywalnie większą wdzięczność. W XIX w., epoce romantyzmu, a także narodzin i rozkwitu niemieckiego nacjonalizmu, postać Arminiusza (w niemieckiej wersji: Hermanna) zaczęto postrzegać jako symbol jedności Germanów i figurę „pierwszego niemieckiego bohatera narodowego". W 1871 r., po utworzeniu Cesarstwa Niemieckiego, zaczęto silnie propagować symbole, które miały potencjał umocnienia poczucia jedności mieszkańców zjednoczonego państwa. Zintensyfikowano prace nad budową pomnika Arminiusza Hermana, wodza Cherusków, który rozpoczęto wznosić w 1838 r. na szczycie góry Grotenburg k. Detmoldu. Projektodawcą był Ernst von Bandel. Do czasu wojny francusko-pruskiej budowa pomnika posuwała się wolno z powodów finansowych; dopiero zwycięstwo Bismarcka nad Francją sprawiło, że otrzymane wówczas przez Rzeszę odszkodowania wojenne mogły zasilić budżet na ten cel. Trwającą kilkadziesiąt lat budowę ukończono błyskawicznie w cztery lata. W 1875 r. w obecności cesarza Wilhelma I oraz wielu książąt niemieckich dokonano uroczystego odsłonięcia pomnika. W czasach III Rzeszy oczywiście podtrzymywano narrację o Arminiuszu Hermanie jako bohaterze narodowym, a nawet jeszcze bardziej ją radykalizowano. Podkreślano także wyższość czystych rasowo Germanów nad Rzymianami, których oceniano jako dekadenckich i mieszanych rasowo.

Obraz tego, kim dla nazistów był Arminiusz Herman, wyłania się z rozmów, jakie polski więzień okresu stalinowskiego, członek Armii Krajowej i dziennikarz Kazimierz Moczarski przeprowadził z Jürgenem Stroopem, zbrodniarzem wojennym, katem warszawskiego getta. Komunistyczni oprawcy celowo umieścili Moczarskiego w jednej celi ze Stroopem, aby dodatkowo go pognębić. Moczarski wykorzystał tę sytuację do przeprowadzenia wielu rozmów ze współwięźniem, które następnie opisał w swojej książce „Rozmowy z katem", będącej niezwykłym świadectwem działania ludzkiego umysłu całkowicie podporządkowanego zgubnej ideologii.

Stroop wyraża się o Arminiuszu Hermanie następująco: „Cheruskowie, najdzielniejsi z dzielnych Germanów, to nasi praojcowie. Jesteśmy z ich krwi. My, jądro kraju, z Teutoburskiego Lasu! Pomnik Hermana kształtował «dusze narodów», był symbolem Germanii i jednocześnie napomnieniem Niemców, którzy [...] wędrowali przed pomnik wielkiego Germanina dla wzmocnienia poczucia narodowego". ©℗

AUTOPROMOCJA

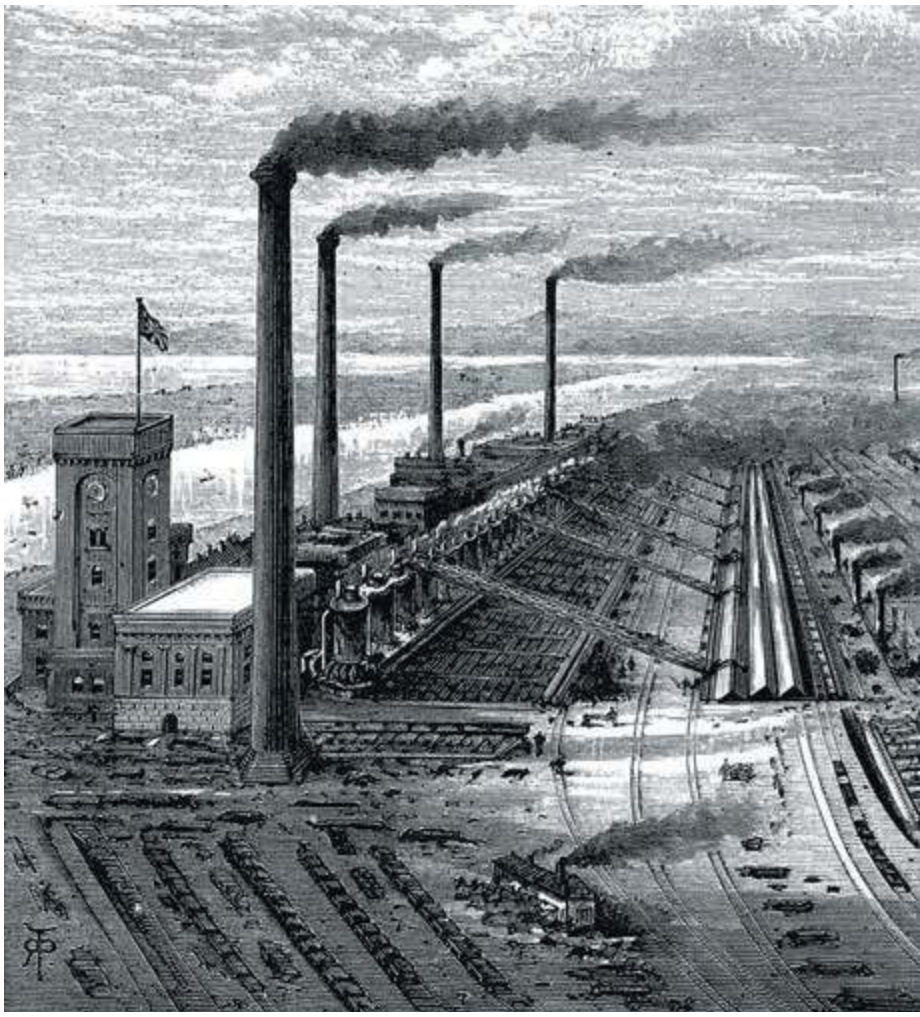


eprasa.pl 25c31a5032

Brytyjskie 150 lat na równi pochyłej

Dopóki Wielka Brytania była największą fabryką świata, dopóty była też najpotężniejszym mocarstwem globu

Andrzej
Krajewski



Zmierzch brytyjskiego przemysłu, który niedawno popadł już w agonię, trwa 150 lat. Spośród mocarstw żadne inne w ciągu ostatnich dwóch stuleci nie doświadczyło tak dramatycznej zmiany.

Jeszcze w 1870 r. przemysł wytwarzał 40 proc. PKB Zjednoczonego Królestwa. Dziś to ledwie 8 proc. – to najniższy wskaźnik w grupie 10 największych gospodarek świata. A proces dezindustrializacji trwa. I towarzyszy mu wysyp prognoz, zgodnie z którymi wraz z ostatecznym upadkiem przemysłu rozpadnie się i Wielka Brytania.

U szczytu potęgi

„Po 1815 r. na angielskie wyroby metalurgiczne otworzyły się kontynentalne rynki żelaza i stali. Tradycyjne stale (żelazo tyglowe) zniknęły za sprawą nowej, stosowanej w Wielkiej Brytanii taniej technologii (pudlingowanie). Przyjęcie tej innowacji na kontynencie zajęło dużo czasu, głównie ze względów finansowych" – tłumaczy w opracowaniu „Iron and steel trade" Françoise Berger.

Tak kontynentalna Europa przegrywała wyścig ze Zjednoczonym Królestwem w epoce nazywanej „stuleciem węgla i stali". Ten pierwszy był głównym źródłem energii, ta druga – doskonałym tworzywem konstrukcyjnym. Z racji plastyczności i wytrzymałości niezastąpionym jako materiał, z którego wykonywano maszyny, narzędzia, kadłuby okrętów, mosty, szkielety budynków, broń etc. Zapotrzebowanie na nią ciągle rosło. Zatem stal gwarantowała pewne zyski jej producentom. „Do połowy XIX w. można mówić o hegemonicznej dominacji Wielkiej Brytanii na rynku światowym [stali – red.]" – pisze Berger. Jeśli w jakimś kraju budowano okręt lub stawiano most, to z dużym prawdopodobieństwem materiał konstrukcyjny dostarczyły brytyjskie huty.

Podobnie rzecz się miała z innymi wyrobami przemysłowymi. „Do końca lat 70. XIX w. europejski (francuski, belgijski, niemiecki) i amerykański eksport pozostał nieistotny, bo produkty brytyjskie były tańsze aż o 50 proc." – uzupełnia Berger. Zatem brytyjski przemysł odpowiadał za ok. 40 proc. światowej produkcji odzieży i tkanin, a przemysł stoczniowy umacniał swoją hegemonię. Obfitość węgla i stali oraz wykwalifikowani robotnicy – to sprawiało, że Wielka Brytania stała się stocznią świata. Charles K. Harley, autor „British Shipbuilding and Merchant Shipping: 1850–1890", podaje, że pod koniec XIX w. – jeśli weźmiemy pod uwagę tonaż statków – brytyjskie stocznie wodowały ok. 80 proc. jednostek pływających.

Huty, stalownie, przędzalnie i stocznie napędzały rozwój Zjednoczonego Królestwa. Zatem w 1870 r. brytyjska produkcja przemysłowa stanowiła 32 proc. globalnej i „przewyższała łączny udział pięciu głównych wówczas przemysłowych krajów Europy Zachodniej (Niemiec, Francji, Włoch, Belgii i Szwecji)" – podkreśla w „Historii Anglii" Henryk Zins. „W okresie tym przemysł brytyjski nie tylko przystosowywał szybko swoją strukturę do kierunków popytu rynku światowego, ale w istotny sposób wpływał na strukturę popytu zagranicy w zakresie dóbr przemysłowych. W latach 1850–1870 struktura gospodarki przemysłowej Anglii osiągnęła najpełniejszą swoją formę" – dodaje.

Ale brytyjski walec parowy zamiast przeć do przodu, zaczął wówczas tracić rozpęd.

Kapitał porzuca imperium

„Pod niemal każdym względem Wielka Brytania była [w 1870 r. – red.] wiodącą gospodarką świata, a wraz z jej przywództwem gospodarczym przyszła dominacja militarna oraz wpływy polityczne" – zauważają Michael Kitson i Jonathan Michie, autorzy „The deindustrial revolution: the rise and fall of UK manufacturing, 1870–2010", opisującej przekształcanie się Wysp w państwo postindustrialne. Przez 100 lat Wielka Brytania korzystała z premii, jaką przyniosła jej rola ojczyzny rewolucji przemysłowej. Ale pojawili się groźni konkurenci. Zaś Londyn nie dbał o to, żeby przewagę utrzymać. „W latach 70. XIX w. kapitał przypadający na jednego pracownika w przemyśle brytyjskim był o ok. 10 proc. wyższy niż w USA i o 30 proc. wyższy niż w Niemczech" – wyliczają Kitson i Michie.

Po czym brytyjscy inwestorzy uznali, że większe zyski gwarantują handel, rynki kapitałowe oraz lokowanie inwestycji w innych krajach, takich jak Stany Zjednoczone oraz Rosja. Na londyńskiej giełdzie wydzielono specjalny parkiet, na którym obracano akcjami i obligacjami amerykańskich spółek kolejowych. W 1890 r. kapitał w tym uczestniczący przekroczył wartość 10 proc. wszystkich akcji notowanych na giełdzie. Inwestorzy ze Zjednoczonego Królestwa finansowali więc błyskawiczną rozbudowę sieci kolejowej w USA. „W przededniu I wojny światowej brytyjskie udziały w amerykańskich kolejach stanowiły ok. 15 proc. ich kapitalizacji; we wcześniejszych okresach, choć wartość ta była niższa, udział ten mógł sięgać nawet jednej czwartej" – pisze Stephen J. Lubben w opracowaniu „Railroad Receiverships and Modern Bankruptcy Theory". Z Wielkiej Brytanii odpłynęła za Atlantyk gigantyczna jak na tamte czasy kwota ponad 3 mld dol.

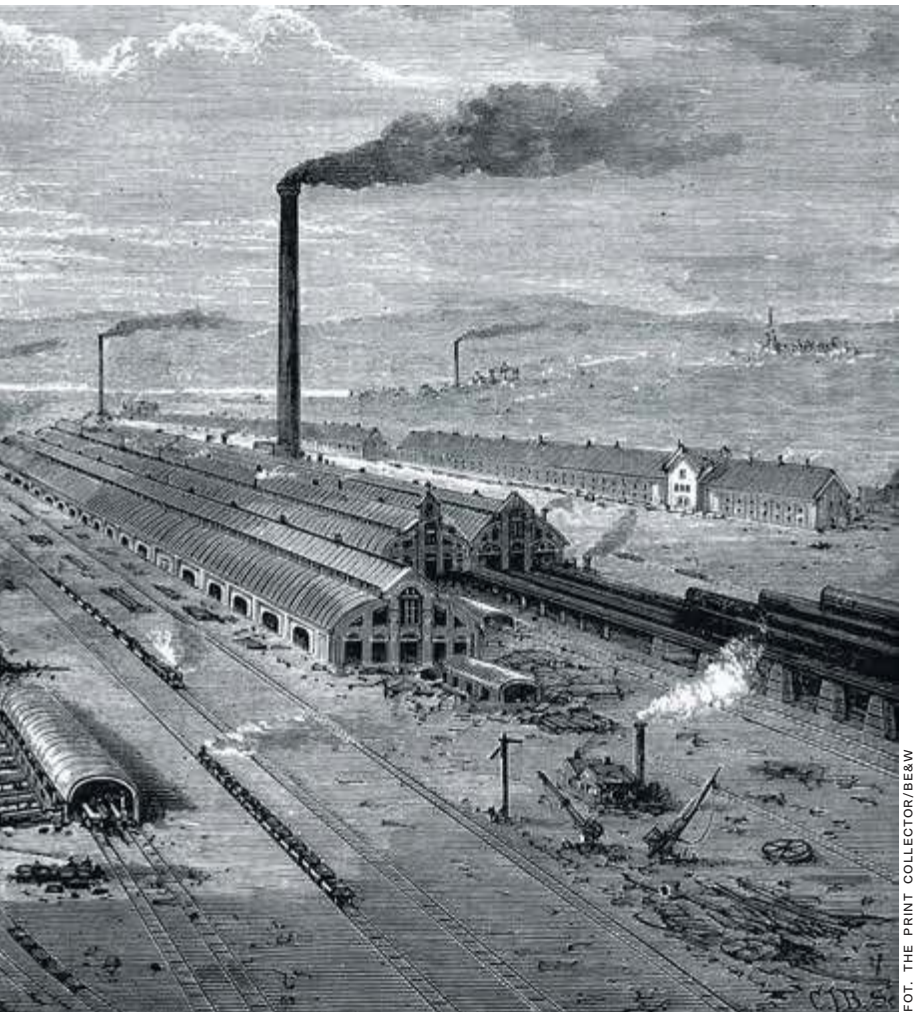
Tę ucieczkę kapitału zaczął odczuwać przemysł. Kitson i Michie podkreślają, że zmiana następowała szybko i do 1900 r. to „przemysł amerykański był o 90 proc. zasobniejszy w kapitał niż przemysł brytyjski, zaś niemiecki dogonił Wielką Brytanię". Acz nadal jeszcze nie odczuwano tego zbyt boleśnie. Produkcja przemysłowa w Zjednoczonym Królestwie w latach 1870–1913 rosła w średnim tempie 2,2 proc. rocznie, a zatrudnienie w przemyśle zwiększyło się aż o 30 proc.

Jednak przegrywanie konkurencji z USA oraz zjednoczonymi Niemcami kumulowało niekorzystne czynniki ekonomiczne. Wielka Brytania nie dorobiła się korporacji potrafiących osiągać dominującą pozycję na rynkach oraz zdolnych do działania na skalę globalną. Amerykanie mieli stalowego giganta Carnegie Steel oraz prekursorski na niwie nowych technologii General Electric. Niemcy byli

AUTOPROMOCJA



eprasa.pl 25c31a5032



FOT. THE PRINT COLLECTOR/BE&W

Ilustracja przedstawiająca zakłady metalurgiczne w Barrow, którą wykonano ok. 1880 r.

zaś dumni z koncernów: Kruppa, Simensa czy AEG. Tymczasem Zjednoczone Królestwo z dumą kultywowało tradycyjne rozwiązania. „Małe przedsiębiorstwa rodzinne, które mnożyły się w sektorze wytwórczym, pozostawały nieefektywne i stosunkowo mało produktywne w porównaniu z większymi przedsiębiorstwami wielozakładowymi, które stały się powszechne w USA i Niemczech" – piszą Kitson i Michie.

To przekładało się na utratę rynków zbytu. „W latach 1895–1913 brytyjski udział w eksporcie stali szybko spadł, a Wielka Brytania stała się nawet importerem netto (ok. 200 tys. t w 1880 r., ponad 2 mln ton w 1913 r.)" – podkreśla Françoise Berger. Natomiast Krupp mógł się chwalić tym, iż w 1913 r. wyeksportował 5 mln t stali, pozostawiając w tyle nawet amerykańskich konkurentów (łącznie ok. 3 mln ton). „Od lat 90. XIX w. ceny amerykańskie i niemieckie [wyrobów stalowych – red.] spadły do tego samego poziomu, co brytyjskie, a czasem nawet niższego" – zauważa Berger. W ciągu trzech dekad jedno z głównych kół zamachowych gospodarki Zjednoczonego Królestwa przestało działać.

Zapatrzeni w przeszłość

Głównymi ułomnościami brytyjskiego przemysłu po 1900 r. stały się słabnący wzrost wydajności i malejąca innowacyjność. Mechaniczna przędzarka, maszyna parowa, parowozy i mnóstwo innych wynalazków sprawiły, że rewolucja przemysłowa w I poł. XIX w. nabierała rozpędu, a jej głównym beneficjentem było Zjednoczone Królestwo. W drugiej połowie stulecia liczba wynalazców w Wielkiej Brytanii nie malała, za to zmieniły się warunki, w jakich przyszło im funkcjonować. „Wybitnymi przykładami tego zjawiska było niezastosowanie przez przemysł bawełniany przędzenia obrączkowego i krosien automatycznych oraz niechęć przemysłu barwników do wykorzystania aniliny syntetycznej z firmy Perkina" – opisują Kitson i Michie.

Nastoletni William Perkin w 1856 r. eksperymentował z pozyskiwaną z benzenu oleistą cieczą nazwaną aniliną. Dodając kolejne komponenty, zaczął uzyskiwać barwniki w kolorach czerwonym i żółtym. Szybko zrozumiał, że oto otwiera się przed nim szansa zdobycia fortuny. Na całym świecie przemysł odzieżowy mógł oferować różne kolory ubrań jedynie za sprawą drogich barwników, pozyskiwanych najczęściej z roślin. Perkin stworzył technologię umożliwiającą syntetyzowanie barwników na skalę przemysłową, tanio i w dowolnej ilości. Rozumiejący to 18-latek wraz z ojcem i bratem zainwestował w budowę wytwórni pod Londynem. I faktycznie wzbogacił się w ciągu kilku lat, dostarczając produkt zagranicznym odbiorcom, bo brytyjskie firmy odzieżowe go ignorowały.

Pracami Perkina byli szczególnie zafascynowani niemieccy przemysłowcy. Wreszcie chemicy Carl Gräbe i Carl Liebermann opracowali w 1869 r. własną metodę syntezy barwników. Ich masowa produkcja przyniosła powstanie czterech wielkich koncernów chemicznych: BASF, Bayer, Hoechst i Agfa. Zaś brytyjskie firmy odzieżowe stały się dobrymi klientami niemieckich dostawców.

Historia wynalazku Perkina nie była wówczas wyjątkiem – Wielka Brytania seryjnie marnowała pojawiające się szanse na znalezienie nowego koła zamachowego dla gospodarki. Zbudowany przez Henry'ego Bessemera konwerter do szybkiego wytopu stali, ignorowany przez brytyjskie huty, docenił amerykański przemysłowiec Andrew Carnegie. Dzięki wynalazkowi jego koncern Carnegie Steel zaczął generować tak wielkie dochody, że właściciel pod koniec XIX w. stał się najbogatszym człowiekiem globu. „Nowe wynalazki (gruszka Bessemera i proces Siemensa-Martina) wstrząsnęły rynkiem światowym. Dotąd stal była produktem drogim, wytwarzanym w małych ilościach (produkcja światowa w 1848 r: 70 tys. ton), i nagle nastąpiła eksplozja – 10 mln ton w 1877 r." – pisze Françoise Berger.

Brytyjczycy na własne życzenie zrezygnowali z udziału w tej rewolucji. Podobnie zadziało się w przypadku silnika spalinowego i samochodu. Wejście Zjednoczonego Królestwa w tę przemianę technologiczną opóźniły przyjęte przez parlament w 1865 r. Locomotives Acts, nazywane potocznie „Ustawami o czerwonej fladze". Lobby firm kolejowych i dyliżansowych przekonało parlamentarzystów, że dla dobra obywateli każdy jadący pojazd mechaniczny musi poprzedzać piechur z czerwoną flagą. Zatem wielkie koncerny motoryzacyjne powstały w USA, Niemczech i Francji, a Zjednoczone Królestwo nigdy nie zdołało nadrobić dystansu do liderów.

Niewykorzystana okazja

„W połowie lat osiemdziesiątych XIX w. Wielka Brytania odpowiadała za 43 proc. światowego eksportu wyrobów przemysłowych, podczas gdy USA miały 6 proc., a Niemcy 16 proc." – podsumowują Kitson i Michie. „Do 1913 r. udział Wielkiej Brytanii w światowym eksporcie wyrobów przemysłowych spadł do 32 proc., podczas gdy udział USA wzrósł do 14 proc. a udział Niemiec wzrósł do 20 proc." – dodają.

Trwał proces staczania się Zjednoczonego Królestwa po równi pochyłej. Jednak nadal działo się to powoli, za sprawą olbrzymich zasobów zgromadzonych przez imperium z jego bajecznie bogatym rynkiem kapitałowym i potężnymi bankami. Zaś zbyt dla produktów gwarantowały liczne dominia i kolonie. Poza tym starano się promować patriotyzm gospodarczy. Tak, aby każdy Brytyjczyk rezygnował z zakupu towarów oznaczanych od 1887 r. etykietą informującą, iż powstały one w innym kraju. Na początek robiono tak jedynie w przypadku Niemców, ostrzegając, że produkt jest „Made in Germany". Z czasem zaczęło to dotyczyć także innych państw. Ów miękki protekcjonizm niewiele dawał, zwłaszcza że Amerykanie i Niemcy ukryli własne przemysły za wysokimi murami barier celnych. Tymczasem Londyn uparcie trzymał się doktryny wolnego handlu.

Aż nadszedł moment dający Wielkiej Brytanii szansę na odwrócenie trendu: stała się nim I wojna światowa. Przestawiony na produkcję zbrojeniową przemysł nieustannie zwiększał moce. A na koniec główny konkurent na Starym Kontynencie – Niemcy – przegrał i znalazł się na łasce zwycięzców. Co więcej, jeszcze większa katastrofa – przejęcie władzy przez bolszewików – dotknęła Rosję, gdy ta była u progu zdobycia statusu mocarstwa przemysłowego. Na placu boju pozostały potężne USA, bardzo osłabiona Francja oraz zadłużona u swojego sojusznika zza Atlantyku, lecz nadal mocno stojąca na nogach Wielka Brytania.

Po gwałtownym spadku produkcji w 1920 r. powojenny kryzys dobiegł w niej końca już rok później, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych. Ale uwagę rządu zaprzątało nie to, że przemysł Zjednoczonego Królestwa nadal jest nadmiernie przywiązany do tradycyjnych gałęzi, przegrywających konkurencję z amerykańskimi firmami. Otóż – jak podkreślają Kitson i Michie – „rozwój «nowych» branż (chemia, elektrotechnika, motoryzacja) w regionach południowych i Midlands był zbyt wolny i zbyt silnie powiązany ze starymi sektorami, by w pełni zrekompensować spadek tradycyjnego przemysłu". Tymczasem największą bolączką rządzących było to, że z powodu wydatków wojennych i przekazywania rezerw kruszcowych do USA (jako zabezpieczenia kredytów) Wielka Brytania musiała w 1917 r. zawiesić stały kurs wymiany funta szterlinga na złoto. Tym samym odchodząc od jego parytetu.

To mocno bolało, bo Londyn silną walutę traktował jak fundament imperium. Marzono więc o powrocie do przedwojennych reguł. „Powrót do złota był szeroko akceptowany politycznie. Sektor finansowy zdecydowanie go popierał, a związki zawodowe i Partia Pracy, a także (być może w mniejszym stopniu) biznes, również" – podkreśla w opracowaniu „Mr Churchill, Mr Keynes and the UK's Re-Entry to and Exit from the Gold Standard" Malcolm Sawyer.

Na próżno ekonomista John Maynard Keynes przekonywał, że „standard złota jest już barbarzyńskim reliktem", a ważniejsze są dostępność kredytów oraz wzrost liczby miejsc pracy. Pragnienie powrotu do dawnych, dobrych czasów było silniejsze. Miał do tego doprowadzić kanclerz skarbu w rządzie premiera Stanleya Baldwina. „Winston Churchill nie był ekonomistą, choć kanclerze rzadko nim są. Polegał na doradcach" – zauważa Sawyer.

Poza tym Churchill był znany ze skłonności do ryzykanctwa. Zatem zgodnie z jego decyzją Wielka Brytania wróciła do standardu złota 21 kwietnia 1925 r. Kurs funta natychmiast zaczął rosnąć, zaś brytyjskie towary stawały się coraz droższe dla zagranicznych odbiorców. Pomimo cięcia kosztów już kilka miesięcy później krach dotknął przemysły maszynowy i tekstylny, a masowo zwalniani górnicy ogłosili strajk powszechny. Po tak popisowym strzale we własną stopę brytyjski przemysł znów znalazł się na równi pochyłej. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl 25c31a5032

Kultura

Ze sceną trzeba w zgodzie żyć

Ludzie rozpoznawali ją na ulicy i namawiali, żeby nie rezygnowała ze śpiewania. Co się stało z tamtą dziewczyną, której piosenki nucili widzowie festiwalu w Opolu i polscy emigranci?

Konrad

Wojciechowski

Któregoś dnia odbieram SMS. Wiadomość przysyła pewna piosenkarka. Właśnie wydała płytę – zbiór archiwalnych nagrań sprzed lat. Szuka kontaktu z dziennikarzami, w każdej chwili wyśle mi album, a jeśli nie mam na czym odtworzyć, mogę posłuchać na Spotify. „Pragnę przypomnieć te utwory publiczności. Moje piosenki są bardziej znane niż moje nazwisko" – pisze artystka. Podpisuje się: Zofia Borca. Zaraz, zaraz, coś mi to nazwisko mówi.

Sięgam do własnej płytoteki i wyciągam album z fantazyjną okładką, na której widać wrysowany w owal pawi ogon. Płyta zatytułowana „Biegnijmy w słońce" jest zbiorem piosenek hipisowskiej formacji Rodzina Pastora. Z zespołem były związane dwie wokalistki: Maria Figiel, a później Zofia Borca. Tyle że to zamierzchła historia. Data nagrania: lata 1971/1972. Data wydania: 2020 r. Dziś ta muzyka jest niczym więcej niż ciekawostką historyczną.

W latach 70. nie było YouTube'a ani Spotify; nie było influencerów. Warszawskie środowisko muzyczne przesiadywało w klubach studenckich – Hybrydach, Medyku, Stodole – albo zbierało się w hotelu Bristol. Tam zaczynała śpiewać Maryla Rodowicz, tam pierwsze kroki stawiała Zofia Borca – młoda, zdolna wokalistka, zapamiętana jako atrakcyjna blondynka o dużych ciemnych oczach.

– W Bristolu na pięterku zorganizowano Klub Piosenki ZAKR. Zarządzał nim Ludwik Klekow. Zaczynali tam Andrzej Rybiński z Elizą Grochowiecką, ja, a także wiele innych piosenkarek i piosenkarzy. Opracowywaliśmy program do akompaniamentu Czesława Majewskiego. Przychodziły gwiazdy, w tym Violetta Villas, tak z ciekawości, żeby posłuchać, jak młodzi śpiewają. Raz w tygodniu w Bristolu były występy. Któregoś razu spotkałam Dominika Kutę. „Zosia, nie nagrałabyś z nami kilku piosenek?". Nagrałam – opowiada piosenkarka o spotkaniu z muzykami folkrockowej Rodziny Pastora. Był 1972 r.

Grupa przetrwała jedynie kilka miesięcy. Ale w tym krótkim czasie dużo się działo – sesje nagraniowe dla Polskiego Radia oraz Młodzieżowego Studia „Rytm", koncert w warszawskiej Stodole. Tylko na opolskie „Debiuty" zespół nie dojechał. Z jakiegoś powodu już nie istniał.

To był czas beztroskiego muzykowania. Ktoś dosiadał się do stolika, a po chwili wszyscy wstawali z miejsc, brali instrumenty i szli na scenę. Albo odwrotnie: ktoś nie dotarł na próbę czy na koncert, ale od razu pojawili się muzycy gotowi go zastąpić. Rodzina Pastora stanowiła patchworkową gromadę, dlatego nikogo nie dziwiło, że niebawem przemieniła się w Grupę Dominika i nagrała maksisingla z czterema piosenkami, w tym śpiewaną przez Borcę piosenkę „Ogonem pawia", tę samą, która trafiła na wspomnieniową składankę.

Dziewczyna szybko zniknęła z horyzontu długowłosym chłopcom z gitarami. – To było zbyt hipisowskie, za mało określone. Poza tym nie chciałam występować w zespole. Wolałam śpiewać sama – mówi dziś wokalistka.

Respekt u Niemena

W pojedynkę trudno cokolwiek zdziałać. Zofia miała swoją przewodniczkę – starszą o 10 lat Renatę Gleinert, pianistkę, kompozytorkę i pedagog, która prowadziła w Gdańsku Studio Piosenki Polskiego Radia i Telewizji. Diament? Warsztat młodej piosenkarki wymagał oszlifowania. – Miałam głos, ale byłam kompletnie zieloniutka – potwierdza Borca.

Znajomość z Renatą zaowocowała angażem do Zespołu Estradowego Marynarki Wojennej „Flotylla". Nastolatka poszła na przesłuchania i została przyjęta. Długo tam nie zabawiła. Nagły zbieg okoliczności spowodował, że znad morza wyprowadziła się na drugi koniec Polski, w góry. Los tak chciał? Nie, przebiegły kompozytor.

– Przez parę miesięcy brałam udział w przygotowaniach programu dla „Flotylli", a kiedy miał wystartować, przepadłam jak kamień w wodę. Z Gdańska do Rzeszowa ściągnął mnie Tosiek Kopff (późniejszy autor przebojów dla Partity czy Anny Jantar – red.). Szukał talentów po całej Polsce. Posłał po mnie jednego z muzyków, z którym przyjechałam pociągiem na Podkarpacie – wspomina Borca.

W przedziale poznała Elżbietę Linkowską, a w Rzeszowie – Krystynę Prońko. Pierwsza śpiewała sopranem, druga mezzosopranem, a Zofia najniższym altem. I tak narodził się żeński tercet. Organizator usiadł za fortepianem, dobrał instrumentalistów i reklamował grupę Respekt jako polską odpowiedź na amerykańską formację jazzrockową Blood Sweat & Tears. – Zaczęliśmy z kopyta robić program do piosenek Tośka. Z gotowym programem Respekt ruszył na Śląsk. W jednym hotelu mieszkała z nami Kasia Sobczyk, wówczas wielka gwiazda. Krążyły plotki, że mąż codziennie kupuje jej kwiaty – wspomina wokalistka.

Wszystkie trochę zazdrościły solistce Czerwono-Czarnych: sławy, uzna-



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Zofia Borca z dziećmi

eprasa.pl 25c31a5032

nia, męskiej adoracji. I nagle wydarzył się cud – na śpiewające dziewczyny zwrócił uwagę wielki Czesław Niemen, już po sukcesie piosenki „Dziwny jest ten świat" i po premierze monumentalnego „Bema pamięci żałobnego – rapsodu". Artysta odświeżał skład formacji Niemen Enigmatic. Po rozstaniu z jazzmanami Zbigniewem Namysłowskim i Michałem Urbaniakiem zrobiło się miejsce dla nowego pianisty Jacka Mikuły i trzech wokalistek. Trasa, koncerty, śpiewanie w chórku u Niemena i wykonywanie standardów Arethy Franklin. Choć dziewczyny były zarobione, zarabiały słabo. – Dużo grania, mało pieniędzy. Dostawałyśmy grosze. Ciągle siedziałam w portfelu rodziców – przyznaje Borca. Ale dodaje, że występy z Czesławem były niezapomnianą przygodą.

Ona poszła inną drogą

Z tercetu wielką karierę zrobiła tylko Krystyna Prońko. „Deszcz w Cisnej", „Psalm stojących w kolejce" czy „Jesteś lekiem na całe zło" śpiewała cała Polska. A Borca? Jakoś nie zapadła w zbiorową pamięć, chociaż jej piosenki podobały się publiczności. „Z miłością trzeba w zgodzie żyć" czy „A ja wierzyłam ci" nuciła widownia opolskiego amfiteatru. – Mąż bardzo znanej artystki prowadził koncert, na którym obie śpiewałyśmy. Zapowiada mój występ. Wychodzę na scenę i śpiewam „Z miłością trzeba w zgodzie żyć". Widownia świetnie się bawi, jest moja, ludzie nie chcą mnie puścić ze sceny. A za moment ma występować żona konferansjera. Nie była zadowolona – relacjonuje.

Branża muzyczna to akwarium z piraniami. Wygrywa silniejsza, odważniejsza, bardziej przebojowa. I nie chodzi o piosenkę, lecz o piosenkarkę. O swoje trzeba walczyć i się upominać. – A ja byłam grzeczna, cicha, spokojna. Przyjechałam raz z piosenką „Głupiś ty" do Warszawy do radiowej Jedynki. Poszłam do pana Antoniego Wrońskiego (producent „Podwieczorku przy mikrofonie" – red.). Posiedziałam trochę, porozmawiałam i poprosiłam, żeby puszczali na antenie moją piosenkę – opowiada Borca, dając mi do zrozumienia, jak wiele ją tamta rozmowa kosztowała.

Unikała rautów i salonów, bo tak została wychowana. Była dziewiątym, najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Słuchała starszych i nie miała potrzeby kontestowania domowych rygorów. Tak ukształtowana weszła w dorosłe życie. Nie była duszą towarzystwa podczas zakrapianych spotkań w festiwalowych kuluarach, gdzie knuło się, kto komu napisze następną piosenkę i która z nich zostanie wielkim przebojem. Kompozytor Jacek Tramer był Zofią zachwycony: „Boże, dziewczyno, ty możesz być taka popularna!" – wzdychał z niekłamaną sympatią. Wielu wygłaszało podobne peany, chwaliło, poklepywało, więc pewność siebie jasnowłosej wokalistki nieśmiało rosła. „Nie ma piosenki, której nie zaśpiewam" – powtarzała w duchu, by dodać sobie animuszu. Przyszła Katarzyna Gertner i mówi: „Mam dla ciebie piosenkę". Ale na słowach się skończyło. A nawet najlepsza wokalistka potrzebuje przeboju, którego refrenem zachłyśnie się cała Polska.

Potrzebne jest jeszcze szczęście. I ktoś, kto będzie mu sprzyjać. W branży zawsze kręci się wielu życzliwych, którzy są gotowi pomagać za wszelką cenę. Nie każdego stać na wdzięczność. Kiedy ktoś przychodził z niemoralną propozycją, Borca odwracała się na pięcie. – Byłam młoda, atrakcyjna, ubierałam się trochę wyzywająco, w przezroczyste bluzki bez biustonosza pod spodem. I na dodatek śpiewałam. Zaczepiali mnie wpływowi mężczyźni, przynosili klucze do hotelu. Grzecznie odmawiałam: „Bardzo przepraszam, to nie moja droga". A w ten sposób też się robiło karierę – wspomina piosenkarka.

W cieniu Rodowicz i Sośnickiej

Z Grupą Dominika nagrała płytę czwórkę. Na słynnym podwójnym czerwonym albumie Niemena słychać ją w chórkach. Ile można pracować na czyjś sukces? Szukam solowych nagrań Borcy z lat 70., które zachowały się w fonografii. Odnajduję singla z piosenką „Z miłością trzeba w zgodzie żyć" i jeszcze starszą pocztówkę dźwiękową z utworem „Do złotej doliny". I więcej nic.

Lukę wypełnia płyta z archiwalnymi nagraniami wydana wiosną tego roku. Na album „A ja wierzyłam ci" wybrano 16 piosenek. Pochodzą z różnych okresów działalności artystycznej piosenkarki i charakteryzują się niejednorodną stylistyką. Są tu popowe romanse („Z miłością trzeba w zgodzie żyć"), żołnierskie opowieści („Gdybym była generałem"), ujazzowione protest songi („Dzika dziewczyna"), pieśni heroiczne („Wołanie"), a nawet krwiste gitarowe kawałki („Za miastem mieszka cisza"). Wśród autorów widnieją mocne nazwiska: Grzegorz Walczak, Andrzej Kuryło, Antoni Kopff czy Janusz Kruk.

Piosenki trafiły w swój czas, jednak nie stały się ponadczasowe tak jak hity Maryli Rodowicz, Urszuli Sipińskiej czy Zdzisławy Sośnickiej. Czego im brakowało? – Zosia potrafiła śpiewać, miała dobre warunki wokalne, ale została piosenkarką drugoplanową, schowaną w cieniu bardziej popularnych koleżanek. Rozpychanie się łokciami nie leżało w jej naturze, nie miała parcia na afisz. Piosenkom niczego nie brakowało. Brakowało siły przebicia piosenkarce – ocenia Andrzej Kuryło, autor tekstów do piosenek „Gram va banque" i „Za miastem mieszka cisza", które ukazały się na składance „A ja wierzyłam ci".

Dlaczego niektóre piosenkarki są od pół wieku oklaskiwane przez publiczność, a ich gwiazda ciągle błyszczy, podczas gdy inne pojawiają się na chwilę i przemykają przez scenę jak komety, by zniknąć, nie wiadomo gdzie? – O sukcesie decyduje wiele czynników – podkreśla Kuryło. – Czasami jego brak to efekt złego doboru repertuaru albo śpiewanie wszystkiego, co tylko się nawinie. Zdarza się, że kawałek jest dobry, ale kiepski aranżer zepsuje piosenkę. Bywa, że piosenkarka zakocha się w mało zdolnym kompozytorze i powierza mu swoją karierę, a on położy cały projekt. No i jeszcze dochodzą ambicje i samouwielbienie – artystki bywają odporne na krytykę i dobre rady. Powodów jest mnóstwo.

Batory wzywa

W połowie lat 70. Borca związała się z Bałtycką Agencją Artystyczną (BART). Prężnie działająca instytucja organizowała trasy koncertowe po Polsce i zapewniała artystom wsparcie marketingowe. – W siermiężnym PRL-u drukowaliśmy kolorowe plakaty, ulotki, afisze i świetne fotosy. Organizacja tras z niekonwencjonalną promocją. Koncerty w efektownej oprawie. Otrzymywaliśmy dużo zgłoszeń od artystów. Z BART-em współpracowali Anna Jantar, Marek Grechuta czy Irena Jarocka. W naszej agencji pojawiła się też Zosia Borca – opowiada Wojciech Korzeniewski, ówczesny referent ds. reklamy BART-u i menedżer Jarockiej.

Zofię poleciła Renata Gleinert. Gdzieś trzeba było należeć, aby mieć szansę występować – albo do Estrady, albo do Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, albo do BART-u. Znakiem rozpoznawczym Borcy stała się piosenka „Z miłością trzeba w zgodzie żyć". – Żeby artystka miała z czego żyć i mogła się utrzymać, musiała przede wszystkim koncertować. Zosia jeździła więc z koncertu na koncert. Akompaniował jej zespół Atlas, który występował również z Ireną Jarocką – wspomina Korzeniewski.

Kiedy nawiązał współpracę z Polską Agencją Artystyczną PAGART, która sprowadzała do kraju zagranicznych wykonawców i wysyłała naszych za granicę, załatwił Zofii wyjazd do Ameryki. „Tylko nie siedź za długo" – powiedział. – Siedziałam ponad rok. Do New Jersey ściągnął mnie Janusz Pogorzelski, kolejny kontrakt zaproponował Leszek Świercz. Polonia była moja. Nie chcieli mnie puścić z powrotem do kraju. Budziłam ciekawość. Ludzie zachwycali się moją urodą: „O, jaka ładna Żydówka". Nawet muzycy dopytywali z ciekawości: „Zosia, ty jesteś Żydówką, prawda? Masz takie oczy" – wspomina wokalistka.

Zagraniczna przygoda nie zakończyła się na Ameryce. Artystka nawiązała kontakt z zespołem Jacka Lecha. Występy piosenkarza uświetniali tancerze, wśród nich m.in. Andrzej Bujak i Halina Chudzik. Zofia dowiedziała się od nich, że na statku pasażerskim „Batory" szukają piosenkarki. – Długo się wahałam, ale w końcu popłynęłam – mówi.

Cóż to był za rejs: Morze Śródziemne, Wyspy Kanaryjskie, Karaiby... Wokalistka zobaczyła kawałek świata, a na statku poznała przyszłego męża. Zaszła w jedną ciążę, potem w drugą i musiała zostać na lądzie, by zająć się dziećmi. A „Batory" wzywał. W Polsce, u schyłku dekady Gierka, sytuacja była kiepska: pustki w sklepach, towary na kartki. A po wprowadzeniu stanu wojennego perspektywy były jeszcze gorsze.

– Namówiłam męża, żeby został w Montrealu. Miał nas ściągnąć do siebie, jak się ustatkuje. Wystąpiłam o wizę do Kanady i sprzedałam mieszkanie w Sopocie. Z wyjazdu nic nie wyszło. Przeprowadziłam się do Gdańska, do teściowej. Pertraktowaliśmy, żeby mąż wrócił. Wrócił po 10 latach, kompletnie inny człowiek. Dziwnie patrzył na wiele rzeczy, a ja nie byłam wspierająca. Nie wytrzymał napięcia i odszedł. U teściowej już nie mogłam dłużej mieszkać. Prawie wylądowałam z dziećmi na ulicy. Prezydent Adamowicz pomógł mi załatwić lokal w kamienicy na trzecim piętrze z widokiem na Kościół Mariacki. Łapałam różne prace dorywcze, by zapewnić synom dobre dzieciństwo i solidne wykształcenie – wyznaje.

Jeszcze jedna szansa

– Rozkochała w sobie amerykańską Polonię, a potem długo nie wracała. Jeśli znikasz z rynku na rok albo dwa, ludzie o tobie zapominają. W przypadku Zosi górę wzięły jeszcze sprawy rodzinne, poświęciła się dzieciom, co de facto oznaczało rezygnację z dalszej kariery muzycznej – tłumaczy Korzeniewski.

Sąsiedzi i znajomi nie mogli się pogodzić z jej decyzją. Były dyrektor BART-u Andrzej Cybulski zachęcał: „Śpiewaj, śpiewaj!". Kiedy jeszcze mieszkała w Sopocie i dzieci były mniejsze, do Borcy podeszła sąsiadka, zachęcając: „Niech pani śpiewa, ja pomogę przy dzieciach, niech pani śpiewa".

Próbowała zarazić synów artystyczną pasją. Obaj poszli do szkoły muzycznej. Starszy, utalentowany pianista, jeździł na konkursy, wszyscy go chwalili. – Pewnego razu mówi: „Nie będę kontynuował. Za dużo stresu". Skończył telekomunikację na politechnice. Jest cenionym inżynierem – mówi dumna mama. Młodszy syn został skrzypkiem, koncertmistrzem w orkiestrze w szwajcarskim Lugano. – Wychowywałam ich sama, bez ojca. Miałam świadomość, że są zdolni. Walczyłam o ich przyszłość bardziej niż o własną karierę – przyznaje.

Synowie osiągnęli samodzielność, a Zofia zajęła się własnym życiem. Wyemigrowała do Anglii, gdzie wyszła za Johna, a po 20 latach wróciła do Polski i wydała płytę przypominającą o swoim istnieniu. Znów poważnie myśli o śpiewaniu. Szykuje się na koncerty. – Ona jest w świetnej formie. Nie mówimy o wielkich koncertach i dużych trasach, raczej o okazjonalnych występach. Współpracowali z nią wybitni autorzy i kompozytorzy, ma świetne piosenki, które dobrze byłoby przypomnieć, czy to w „Szansie na sukces", czy na festiwalu w Opolu. Zosi taka promocja się należy – uważa Korzeniewski.

Wszystko inne ma: dorosłych, wykształconych synów, kochającego męża i dom na Kaszubach. John gra jej na gitarze piosenki swoich ulubionych Shadowsów. ©℗

eprasa.pl 25c31a5032

KOMUNIKAT

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Prezydent Miasta Bydgoszczy

informuje o I przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości gruntowych stanowiących własność Miasta Bydgoszczy, położonych w Bydgoszczy przy ul. Jagiellońskiej 63 w obr. 178

1. **Oznaczenie nieruchomości:**
   – działka zabudowana nr 157/5 o pow. 0,0920 ha, zap. w KW nr BY1B/00008961/7,
   – działka niezabudowana nr 157/6 o pow. 0,1212 ha, zap. w KW nr BY1B/00245563/0,
   – działka niezabudowana nr 158/19 o pow. 0,0263 ha, zap. w KW nr BY1B/00059440/1.
2. **Cena wywoławcza: 3 400 000,00 zł***
   ***dz. nr 157/5** (zw. z VAT) a do wylicytowanej ceny sprzedaży **dz. nr 157/6, nr 158/19** (doliczony zostanie obowiązujący podatek VAT).
3. **Termin i miejsce przetargu: 08 grudnia 2026 r.** o godzinie **11.00** w Urzędzie Miasta Bydgoszczy w Ratuszu przy ul. Jezuickiej 2, sala Łochowskiego
4. **Wysokość wadium: 340 000,00 (PLN), Termin wpłaty wadium: 1 grudnia 2026 r.**
5. **Miejsce wywieszenia i publikacji pełnego ogłoszenia o przetargu:**
   – na tablicy ogłoszeń w budynku Urzędu Miasta Bydgoszczy przy ul. Grudziądzkiej 9-15 w budynku A.
   – na stronach internetowych:
   – http://bip.um.bydgoszcz.pl *(w zakładce Ogłoszenia o przetargach na zbycie nieruchomości),*
   – http://www.bydgoszcz.pl *(w zakładce Nieruchomości Miejskie),*
6. Szczegółowych informacji o sprzedawanej nieruchomości i warunkach przetargu można uzyskać w Wydziale Mienia i Geodezji Urzędu Miasta, przy ul. Grudziądzkiej 9-15, w budynku A, pokoju nr 218, tel.: 052/ 58 59 484, w godzinach 8.00 –16.00 (pon. śr. czw.); 8.00 – 18.00 (wt.); 8.00 – 14.00 (pt.).

AUTOPROMOCJA

DGP

PRAWO • PODATKI • BIZNES



Zamów na 6 miesięcy, oszczędzisz

50%

Skorzystaj:
dgp.pl/subskrypcja

Rozpaczliwe poszukiwanie pełni

Emmanuel Carrère porównuje Philipa K. Dicka do Lovecrafta i Dostojewskiego: podobnie jak oni chciał wiedzieć wszystko, mając przy tym pełną świadomość, że można od tego zwariować

Piotr

Kofta

Philip K. Dick nie żyje od 44 lat. Emmanuel Carrère wydał swoją książkę o Dicku 33 lata temu. Jedno i drugie zdarzyło się w innej epoce. Powiedzieć, że czas zapieprza, to wyrazić się nader elegancko. Nic nie starzeje się równie szybko jak przyszłość, a nasza przyszłość starzeje się w zastraszającym tempie. Przyszłość – a może raczej wersje przyszłości, które w ogóle umiemy sobie wyobrazić. Innymi słowy, wizje przyszłości pochodzące z przeszłości są przeważnie czymś na kształt skrzyżowania rupieciarni z cmentarzyskiem.

Czy żyjemy własnym życiem?

Dick jednak zarazem był i nie był typowym pisarzem uprawiającym SF. Był – bo na poziomie czysto literackim większość jego opowiadań i powieści pozostawia sporo do życzenia, posługiwał się bowiem standardowym instrumentarium drugoligowej powojennej fantastyki amerykańskiej. Nie był – bo to tylko pierwsza warstwa. Pracuje się z takimi narzędziami i materiałami, jakie się w danym momencie ma w warsztacie. Dick także pracował z tym, co miał: z koloniami na Marsie, androidami, telepatią, poślizgami w czasie czy historią alternatywną. Ale to wszystko służyło nadrzędnemu, obsesyjnemu celowi: próbom ustalenia, jakie są fundamenty rzeczywistości. Skąd wiemy, że żyjemy własnym życiem? Że otaczają nas realne przedmioty i osoby? A może jesteśmy czyimś snem bądź urojeniem? Może jesteśmy maszynami, które sądzą, że są ludźmi, bazując na wszczepionych wspomnieniach? Może trwamy w totalitarnym imperium, karmiącym nas, niewolników, narkotyczną iluzją wolności? Albo odwrotnie – jesteśmy w istocie wolni, ale zatruto nam umysły przekonaniem o pokorze i posłuszeństwie?

Współczesna popkultura lubi – rozrywkowo – eksploatować te kwestie, w dużej mierze pożyczywszy je zresztą od Dicka. Ale Dick traktował je śmiertelnie serio. Na tyle poważnie, że nie umiał pisać o niczym innym. Ani myśleć o niczym innym. Nasze mózgi są tak zbudowane, że potrafią wdrażać automatyczne programy kognitywnej higieny. Nie pozwalają nam wpatrywać się zbyt długo w otchłań. Dick z jakiegoś powodu był pozbawiony tych filtrów. Każda książka oznaczała dla niego skok w czarny wir. Ostatnie lata życia spędził udręczony manią religijną – przekonaniem, że doznał szeregu gnostyckich objawień.

Carrère porównuje go do Lovecrafta i Dostojewskiego: podobnie jak oni chciał wiedzieć wszystko, mając przy tym pełną świadomość, że można od tego zwariować. Życie w cieniu takiej wiedzy staje się na swój sposób przeciwżyciem (by skorzystać z tytułu świetnej skądinąd powieści Philipa Rotha). Język angielski dysponuje nawet epitetem „phildickian" na określenie sytuacji, w której rzeczywistość ulega zaburzeniu, zniekształceniu, zakwestionowaniu. To w sumie wystarczający powód, by wciąż czytać Dicka, a także czytać o Dicku – nasza własna rzeczywistość jest phildickian bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. A zresztą skąd wiadomo, że to w ogóle nasza rzeczywistość?

To nie jest sucha biografistyka

Istnieje kanoniczna biografia pisarza, „Philip K. Dick. Boże inwazje" Lawrence'a Sutina (oryg. wyd. 1989, wyd. pol. Zysk i S-ka 1999, przeł. Lech Jęczmyk), książka solidna i dobrze udokumentowana. Co zatem mógł wnieść do tej historii Emmanuel Carrère? By rzec najprościej – unikatową metodę pisarską, która dystansuje się od klasycznej biografistyki na rzecz przewrotnego eksperymentu z dziedziny współczującego subiektywizmu.

We wstępie (cytuję za wydaniem angielskim, bo w polskim z jakiegoś powo-

eprasa.pl 25c31a5032



FOT. ALLSTAR PICTURE LIBRARY LTD/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Kadr z filmu „Blade Runner”, który powstał na podstawie opowiadania Philipa K. Dicka „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach”

du wstęp pominięto) Carrère tak podsumowuje pomysł, który przyświecał „Ja żyję – a wyście pomarli”: „Książka, którą trzymasz w rękach, jest książką niezwykle osobliwą. Próbowałem w niej ukazać życie Philipa K. Dicka od wewnątrz, innymi słowy, z tą samą swobodą i empatią – a właściwie z tą samą autentycznością – z jaką on sam przedstawiał swoich bohaterów. To wędrówka po mózgu człowieka, który nawet swoich najbardziej szalonych tekstów nie uważał za dzieła wyobraźni, lecz za relacje z rzeczywistych wydarzeń. To książka o umyśle, o jego przemianach, o jego najodleglejszych i najbardziej niebezpiecznych terytoriach. O narkotykach i mistykach, o duchu epoki lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych oraz o jego spuściźnie, którą odziedziczyła nasza epoka New Age. Jak powiedziałem, to bardzo osobliwa książka – ale jak mogłoby być inaczej? Życie Dicka było naznaczone fikcjami, które tworzył, tak samo jak jego fikcje nosiły ślady jego przeżyć”.

Carrère (rocznik 1957), Francuz o skomplikowanym, gruzińsko-rosyjsko-pruskim pochodzeniu po kądzieli (jego matka, Hélène Carrère d’Encausse, z domu Zurabiszwili, była wybitną historyczką), to zasadniczo pisarz wart uwagi, poruszający się na granicy fikcji i faktu. Nieco podobną do historii o Dicku książkę biograficzną poświęcił też Eduardowi Limonowowi (1943–2020), ekscentrycznemu rosyjskiemu literatowi, który od awangardy przeszedł do polityki, łącząc w happeningowym stylu tradycje bolszewizmu, faszyzmu i wielkoruskiego nacjonalizmu. Była to, krótko mówiąc, kreatura ohydna, ale interesująca. Tym właśnie szczególnym połączeniem w „Limonowie” (za którego dostał prestiżową Prix Renaudot) zajmuje się Carrère, stosując swoją analityczną, ironiczną empatię. Zajmował się też paradokumentalnym relacjonowaniem własnych przeżyć duchowych („Królestwo” i „Joga” – obie książki znacząco, i pozytywnie, odbiegają od głównego nurtu tego rodzaju ekspiacyjnej literatury), napisał również powieść non fiction o mistyfikacji i zbrodni („Przeciwnik”), ma na koncie prozę autobiograficzną („Powieść rosyjska”) i surrealistyczną groteskę („Wąsy”). Generalnie – błyskotliwy, inteligentny fachowiec. Poszukiwacz.

„Ja żyję – a wyście pomarli” oddaje tę niecierpliwą poznawczą ciekawskość Carrère’a. Czyta się to jak pasjonującą powieść z neurotycznym narratorem pragnącym przełamać dystans między sobą a obiektem swoich dociekań. Niekiedy narrator dociera zbyt blisko, wtedy broni się sarkazmem albo złośliwą puentą. Innym razem – choćby wtedy, gdy mowa o wizytach Boga w głowie Philipa Dicka – z całego serca pragnie zrozumieć, co się stało. Odbiorca konsumuje ten tekst w dużych emocjach, całkiem inaczej niż to bywa z suchą, rzeczową biografistyką. Niewykluczone, że to właśnie jest stosowne podejście do tematu.

Świadomy swojego szaleństwa

Dick nie był bowiem miłym misiem, lecz panikarzem, obsesjonatem i emocjonalnym wampirem, choć ci, którzy go znali, twierdzą, że nigdy nie spotkali lepszego, ciekawszego rozmówcy. Całe życie przeżył z poczuciem straty – był jednym z bliźniąt, jego siostra żyła całe 10 dni. Philip, być może słusznie, sądził, że owo „całe życie”, które przypadło mu w udziale, było w istocie tylko połową życia. W każdym razie przez dekady gorączkowo poszukiwał pełni – czy to w związkach z kolejnymi kobietami (pięć żon), czy to w relacjach z metafizyką. To, że kulminacja tych zabarwionych paranoją poszukiwań przypadła na schyłek psychodelicznej epoki dzieci kwiatów, nie ułatwiało sprawy, za to otwierało nowe, niebezpieczne możliwości.

Za Dickiem ciągnie się opinia ćpuna. To raczej nieprawda. Był co najwyżej lekomanem i amatorem wzmacniaczy w rodzaju amfetaminy. Jego jedyna przygoda z LSD zakończyła się potwornym bad tripem, który tylko utwierdził go w przekonaniu, że świat wokół jest niegodnym zaufania konstruktem. Po prawdzie Dick nie potrzebował LSD ani opioidów, żeby być na haju: jego umysł produkował te wizje i uniesienia na trzeźwo, w transie pisania (wystukanie pełnowymiarowej powieści na maszynie zajmowało mu często mniej niż dwa tygodnie).

Czy w takim razie był szaleńcem? Jeśli nawet, to nietypowym, bo świadomym swojego szaleństwa, przez cały czas sondującym jego głębię i szerokość. Potrafił przecież napisać taki tekst jak „Valis”, w którym obsadził się w podwójnej roli: religijnego maniaka Konioluba Grubasa, którego Deus absconditus napromieniowuje różowym światłem i zmusza do spisywania świętych tekstów (Dick naprawdę wiele lat spędził na zapisywaniu na tysiącach stron „Egzegezy”, czyli intelektualnego świadectwa swoich objawień), oraz Phila Dicka, który usiłuje z zewnątrz, racjonalnie, pojąć mistyczne uniesienia Grubasa. Jest to niesłychana książka, ale też Carrère przepięknie pisze zarówno o niej, jak i o tych dziwnych, ostatnich latach życia Dicka. Ów zwalisty kalifornijski brodacz z proroka (a taką rolę próbuje przypisać mu współczesność) zamienia się ostatecznie w zmęczonego, rozczarowanego człowieka. ©℗

Emmanuel Carrère

„Ja żyję – a wyście pomarli”, przeł. Magdalena Kamińska-Maurugeon, PIW, Warszawa 2026



eprasa.pl 25c31a5032



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Mamy kryzys rafineryjny, a nie surowcowy

Rafał Woś

Padają pytania w stylu „Dlaczego benzyna albo diesel są dziś droższe, niż były w 2022 r., gdy Putin zaatakował Ukrainę? A przecież wówczas cena baryłki ropy na światowych rynkach była wyższa niż dziś...". Te wątpliwości pojawiały się jednak dotąd raczej na marginesie sporów i analiz dotyczących rosnących cen paliw. Teraz wychodzą na pierwszy plan.

W trakcie obecnego kryzysu energetycznego ceny surowej ropy i produkowanych z niej paliw zaczęły się rozjeżdżać. Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź składa się jak zwykle z kilku elementów. Pierwszy i najważniejszy jest taki, że surowej ropy nie wlewa się do baku samochodu, maszyny rolniczej czy samolotu. Trzeba ją najpierw poddać procesowi uzdatnienia, czyli rafinacji. Problem jednak w tym, że przemysł rafineryjny był od wielu lat w odwrocie, zwłaszcza na Zachodzie. Najmocniej widać to niestety w Europie (wliczając w to Wielką Brytanię), gdzie zdolności przetwarzania ropy w paliwa zmniejszyły się w ciągu ostatnich 15 lat o jedną piątą. Cremona, Grandpuits, Hamburg, Jasło – to tylko niektóre miejsca, w których instalacje rafineryjne uległy kompletnemu albo częściowemu wygaszeniu. Nieprzypadkowo mowa tu właśnie o ostatnim 15-leciu. To był przecież w Europie czas, w którym władza publiczna projektowała i wdrażała kolejne transze polityk klimatycznych. Wszystko pod ogólnym sztandarem dekarbonizacji, czyli odchodzenia od paliw kopalnych jako źródeł energii. Skoro więc przyszłość miała być zielona, to inwestycje w rozwój czy choćby utrzymanie zdolności do rafinacji ropy logicznie jawiły się jako mało atrakcyjne, bo schyłkowe. Jak to zwykle bywa, rok, dwa albo trzy lata takiej polityki różnicy jeszcze nie robią, ale półtorej dekady – owszem. Niestety działa to w obie strony. Dziś nie da się tych wieloletnich zaniedbań tak po prostu odwrócić. Zwłaszcza że ogromna część europejskich elit nadal odmawia przyjęcia do wiadomości, w jakiej matni się znaleźliśmy.

Do tego warto jednak dodać jeszcze kolejne warstwy. Na mapie Europa nie robi wrażenia giganta, ale to obszar o najgęstszym skupieniu bogactwa na kuli ziemskiej. Bogactwo znaczy rozwój, a rozwój to popyt na energię, czyli na paliwa. Jeżeli więc Europa ma problem z zaspokojeniem swojego popytu na produkty naftowe u siebie, to musi ich szukać na innych rynkach. Zwłaszcza w sytuacji, w której w krótkim czasie zostały zablokowane dwa źródła paliw dla kontynentu. Najpierw Rosja, a ostatnio także cieśnina Ormuz i Zatoka Perska. W rezultacie europejscy sprzedawcy paliw muszą o nie konkurować u innych dostawców: Amerykanów, Kazachów albo w krajach Ameryki Południowej. Ponieważ jednak Europa jest smokiem, który pije bardzo dużo, cena produktów naftowych wzrasta nie tylko dla niej, lecz także np. dla odbiorców amerykańskich.

Jest jeszcze jedno. Kryzysu rafineryjnego nie da się łatwo zażegnać zwiększeniem podaży ropy, choćby dzięki otwarciu przepastnych zasobów surowca w Wenezueli. Bo cóż z tego, że tamtejsza ropa jest w procesie „odwracania sojuszy" (ze Wschodu na Zachód, od Rosji/Chin do USA)? Niestety, trzeba ją jeszcze uzdatniać do użytku. I tak wracamy do punktu wyjścia, czyli do szoku rafineryjnego. To tu dziś jesteśmy. I wygląda na to, że trochę się z tym pomocujemy. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

Oswajanie niepewności

Przy projektowaniu polityk redystrybucyjnych rządzący powinni wiedzieć, jak ludzie reagują na nieoczekiwane szoki. Czy zwiększają konsumpcję? A może odkładają środki na gorsze czasy?

Lucas van der Velde

Autor jest ekonomistą GRAPE

Ostatnie lata przyniosły nam wyraźny wzrost niepewności: błyskawiczny rozwój AI, wojny w Ukrainie i Iranie, pandemia... Przy projektowaniu polityk redystrybucyjnych rządzący powinni wiedzieć, jak ludzie reagują na nieoczekiwane szoki. Czy zwiększają konsumpcję? A może odkładają środki na gorsze czasy?

Trójka ekonomistów z Uniwersytetu Harvarda – Roberto Colarieti, Pierfrancesco Mei oraz Stefanie Stantcheva – przeanalizowała te reakcje, wykorzystując ankietę wśród amerykańskich gospodarstw domowych. Badacze pytali, jak respondenci poradziliby sobie z nieoczekiwanym – i dużym – wydatkiem oraz jak zareagowaliby na nagłe dodatkowe dochody.

Intuicja podpowiada, że niespodziewany koszt można sfinansować, pracując dłużej, ograniczając wydatki lub zaciągając dług. Podobnie nieoczekiwane przychody mogą zostać przeznaczone na konsumpcję, dodatkowe zajęcia w czasie wolnym lub zwiększenie oszczędności.

Jak więc gospodarstwa domowe reagują? Choć nie istnieje uniwersalny schemat, to pewne wzorce się powtarzają. Kiedy otrzymujemy dodatkowe pieniądze, konsumpcja rośnie natychmiast, ale później stopniowo wygasa. Nieoczekiwany wydatek sprawia, że od razu ograniczamy zakupy, choć ten efekt również nie utrzymuje się zbyt długo. Badacze odkryli także przy tym istotne asymetrie między pozytywnymi a negatywnymi szokami dochodowymi: konsumpcja bardziej spada w przypadku niespodziewanego wydatku, niż rośnie przy nieoczekiwanym przypływie gotówki.

Jednak konsumpcja to tylko część obrazu. Ludzie dokonują również przetasowań w domowych budżetach. Dodatkowe dochody są często wykorzystywane do spłaty zadłużenia, zaś negatywne szoki są częściowo łagodzone przez zaciąganie kolejnych kredytów. Co istotne, wykorzystanie pożyczki jako bufora różni się znacznie bardziej między gospodarstwami niż reakcje konsumpcyjne – ten aspekt jest często pomijany w dyskusjach o polityce społecznej.

Wreszcie gospodarstwa mogą także regulować liczbę przepracowanych godzin. Ale ten mechanizm działa tylko w przypadku szoków negatywnych. Kiedy ludzie otrzymują dodatkowe dochody, ich czas pracy pozostaje na ogół niezmieniony. Jedynie osoby pracujące wiele godzin i mające elastyczny harmonogram rozważają jego skrócenie.

Na podstawie tych odpowiedzi ekonomiści podzielili gospodarstwa domowe na cztery grupy. Pierwsza to gospodarstwa ograniczone finansowo. Wykorzystują one dodatkowe środki do spłaty zadłużenia, a w obliczu negatywnego szoku redukują konsumpcję. Ta grupa jest najliczniejsza. Druga to gospodarstwa wydające – konsumujące pozytywne szoki i zwiększające zadłużenie, aby finansować wydatki po stronie negatywnej. Trzecią grupę stanowią gospodarstwa starające się utrzymywać wydatki na względnie stałym poziomie, nawet gdy ich dochody się zmieniają. Te gospodarstwa mają większe zasoby płynnych aktywów i wykorzystują je do pokrywania przejściowych spadków dochodów. Dzięki temu ich konsumpcja jest najbardziej wyrównana. Wreszcie są gospodarstwa ostrożne, wyrażające większe obawy o przyszłość i zwiększające oszczędności po pozytywnym szoku.

Zrozumienie, jak ludzie dostosowują swoje decyzje do zmieniającej się rzeczywistości, jest bardzo ważne. Niestety, jak pokazują badania, cechy demograficzne oraz poziom dochodu słabo tłumaczą indywidualne reakcje. Zarówno gospodarstwa o wysokich, jak i te o niskich dochodach znajdują się we wszystkich czterech grupach. W rezultacie polityki oparte wyłącznie na obserwowalnych cechach mogą całkowicie rozmijać się z rzeczywistymi zachowaniami. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Nierówności są dobre czy złe?"

eprasa.pl 25c31a5032